№ 22. Warszawa, dnia 18 (30) Maja 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

STANOWISKO PRAWNE I TOWARZYSKIE

ŚREDNIOWIECZNEJ NIEWIASTY GERMAŃSKIEJ.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

(Dokończenie.)

Nie trudno odszukać w programacie Gurnemanca, bardzo wyraźnego wpływu chrześciaństwa; do tego źródła należy sprowadzić: miłosierdzie, przebaczanie obrazy, hojność dla ubogich i opiekę dla słabych. Rycerstwo było rzeczywiście w czasach swego rozkwitu rodzajem zakonu. Miecz był obrońcą wiary chrześciańskiej i wykonawcą jej przepisów.

Obowiązek „opiekowania się istotami słabszemi", przyczynił się nasamprzód do zmiany poglądów, odnośnie do kobiet. Niewiasta nie mogła walczyć z swym przeciwnikiem lub prześladowcą, jego bronią. Było rzeczą rycerza służyć sponiewieranej lub uciśnionej swem ramieniem.

Najgłośniejsi też bohaterowie epopei szlacheckich, potykali się w imieniu pokrzywdzonych kobiet. Jak Żwaju, tak wielu innych. Byli nawet tacy, którzy ciągnęli od zamku do zamku, od wsi do wsi, pytając, czy nie ma gdzie jakiej „roboty", co znaczyło: czy nie ma jakiej zbrodni, którą trzeba pomścić, jakiej złości, którą trzeba ukarać. Każdy szlachcic zaczynał w ten sposób swą karyerę rycerską.

A wysokie stanowisko Matki Bożej, oddziałało korzystnie na zmianę stosunku mężczyzny do kobiety. Rycerz modlił się gorąco do Rodzicielki Zbawiciela, polecał się Jej łasce i na skutek tego zaczął płeć słabą więcej szanować.

Reszty dokazała poezya szlachecka, zwłaszcza pieśń trubadurów, apoteozująca miłość i większa ogłada towarzyska. Z pieśni trubadurów, nauczył się rycerz czci dla przymiotów serca niewieściego, a taka zwana „kurtuazya", wchodząca w skład wychowania, nagięła szorstkiego wojownika do grzeczności i uległości.

Kobieta stała się środkiem pożycia towarzyskiego, gospodynią zamku, panią domu, którego „honory" musiała pełnić, więc choć jej prawo nie postawiło na równi z mężczyzną, uczynił to obyczaj.

Chrześciaństwu i rycerstwu zawdzięcza kobieta swą emancypacyą. Do dziś nazywamy grzeczność dla kobiet i uległość dla płci słabszej rycerskością. Szlachta średniowieczna, owa „ciemna, zacofana", szlachta wyznaczyła kobiecie jej stanowisko obecne.

Nawet owe klękanie przed ukochaną kobietą pochodzi z wieków średnich. Gdy uboższy rycerz odbierał od możniejszego jakie *beneficium*, wtedy klękał przed nim składając ręce jak do modlitwy. W tej postawie składał swemu lennodawcy przysięgę, a gdy ją dokonał, całował go pan w twarz na dowód, że przyjmuje go do swej rodziny.

Ceremonię tę wyzyskały szlachcianki średniowieczne na swoją korzyść. I one kazały kochankom swym klękać przed sobą i przysięgać wierność i posłuszeństwo.

Lecz słusznie mówią Tatarzy, że kobieta nie zna drogi pośredniej, że umie tylko słuchać, albo panować.

Nie znały też drogi pośredniej szlachcianki średniowieczne. Zapanowawszy nad rozmarzonym i rozpoetyzowanym rycerzem, nie umiały utrzymać miary. Zamiast umocnić swój wpływ, zamiast się postarać o zmianę prawodawstwa, zaczęły kaprysić i grymasić, w czem im pomagali różni szaleńcy, przesadzający w kierunku grzeczności dla „dam", swego serca.

Kobiety, zepsute uległością rycerzów, wymyślały dla swych kochanków najrozmaitsze tak zwane próby, które graniczyły nieraz z szaleństwem.

Lata całe wodziły za nos swych wielbicielów, żądając od nich to tego to owego.

Bardzo jaskrawo opisuje jeden z późniejszych poetów zachcianki ówczesnych niewiast.

Dziś domaga się bogdanka moja — prawi ów poeta — abym jej przyniósł salamandra, jutro zachciewa jej się Rony płynącej przez Norymbergią, pojutrze Dunaju nad Renem. Przenieś mi

Dunaj nad Ren, bo sobie tego życzę! woła, jak dziecko. Ludzie nazywają ją dobrą. Bóg zapłać za taką dobroć. Gdy ja powiem: tak! bąknie ona rozmyślnie: nie! Mnie się zdaje, że zapoznawano ją za mało z róźdźką, gdy była dzieckiem. Pytam ją: kiedyż nareszcie spełnią się moje pragnienia?

A ona na to: gdy się mysza-wieża roztopi jako śnieg, lub gdy mi wybudujesz pałac z kości słoniowej, na jeziorze, albo w końcu, jeśli mi przyniesiesz górę, za którą siadywał Adam w raju. Nie chcesz? Tam daleko w Indyach, stoi nad Gangesem wielkie drzewo. Przynieś mi to drzewo, a pocałuję cię i t. d.

Dopóki, w czasach rozkwitu, rycerz lubił życie awanturnicze, bawiły go te kaprysy niewieście. Wielu nawet z nich wykonywało najdziwaczniejsze żądania swych bogdanek. Wiadomo, że słynny pieśniarz, Ulrych z Lichtenstein, uciął sobie na rozkaz swej „donny" górną wargę i wielki palec u ręki, że włóczył się za jej kaprysami przez długie lata po świecie, robiąc co jej tylko na myśl przyszło. A inny narwaniec, niejaki Piotr Vidol, przebrał się w wilczą skórę i biegał po lasach wyjąc, jak wilk, aż go raz psy owczarskie napadły i prawie na śmierć zagryzły. Psy nie znały się bowiem na formach miłości średniowiecznej, więc nie wiedziały, że ów wilk był rozkochanym trubadurem.

Lecz gdy uczuła skłonność do awanturniczości, wtedy sprzykrzyły się brzydkiej połowie rodzaju ludzkiego, dziwactwa płci słabej.

Nie trzeba zresztą zapominać, że owe czasy nie znały wstydliwości w naszem rozumieniu. Choć poezya rycerska umaiła kobietę wonnym kwiatem tęsknej liryki, choć ją w złociste przystroiła suknie, nie mogła jednak usunąć surowych zwyczajów wieków średnich, których było bardzo dużo.

A w każdym bujnym kwiecie, lęgnie się niestety, robak. Tego robaka widzimy już w epopei trzeciego z rzędu wielkiego poety z zasad Hohenstaufów, w „Trystanie i Izoldzie" Gotfryda ze Strasburga.

Gdy ideały rycerstwa zaczęły blednąć, wtedy wypełzł i z miłości poetów brzydki gad rozpusty zmysłowej, spychający znów kobietę średniowieczną na stanowisko drugorzędne.

Przedymił i ostygł zapał wojen krzyżowych; ludzie przestali pragnąć doskonałości chrześciańskiej, przenosząc używanie nad ascetyzm, wesele nad samotność, głośne biesiady nad ciche modlitwy. Coraz mniej Parsiwalów, a coraz więcej Trystanów.

Dalszemu rozwojowi nie sprzyjały i same warunki polityczne. Wielcy cesarze z domu Hohenstaufów, ulegli potędze Rzymu.

Jeszcze niedawno pożądana i szanowana korona niemiecka poszła w taką poniewierkę, iż się nią najdrobniejszy książę nie chciał obarczyć.

Zgasł urok władzy, przepadła powaga wszelkiej zwierzchności. Kto się chce na zamku swoim utrzymać, niech czuwa i zbroi się, bo jutro, pojutrze, może go napaść sąsiedni rycerz, opat, biskup, książę, a wtedy ostoi się jedynie mocniejszy.

Nie ma już prawa, jest tylko siła. Trzymaj więc dłoń na rękojeści miecza i oglądaj się uważnie, aby cię ktoś z boku nie najechał.

Nadomiar pragną potomkowie dawnej szlachty służebnej, dobiwszy się przy boku królów znaczenia, władzy najwyższej. Nie życzy sobie tego szlachta dawna, tak zwana dynastyczna. Więc wojna: „nowi ludzie" opierają się na miastach, a za to napada stary szlachcic każdego mieszczucha. Miasto znów, gdy schwyci rycerza nie oszczędza go wcale.

Z tej walki politycznej, wyradza się niebawem rozbój, kończący się uznaniem prawa pięści. Kto mocniejszy, niech bije, a głupi tylko ten, co się pozwolił pokonać.

W takiem położeniu nie może być mowy o uprawianiu sztuki i poezyi. Rycerz dziczeje, surowieje, staje się szorstkim, gwałtownym, nieokrzesanym, czyli tem, czem był dawniej. Nie ma on czasu myśléć o kobiecie. A gdy go nowe czasy zepchnęły na drugi plan, gdy tumanizm i reformacya nowe zrodziły cele, wtedy ustępuje z nim razem i niewiasta. Dopiero w bieżącem stuleciu przypomniano sobie kobietę i jej prawa.

Trudno zakończyć rzecz o kobietach nie powiedziawszy słów kilka o tualecie.

Starożytne germanki nie były bardzo wybredne, jak wiemy od autorów rzymskich. Skóry dzikich zwierząt, okrywające ciało,—oto cały strój pierwotnych niemek.

Dopiero plemiona frankońskie, stykające się bezpośrednio z rzymianami, zaczęły się staranniej ubierać. U gotów, longobardów i frankonów, widzimy już na sukniach więcej cacek i błyskotek.

Rycerstwo średniowieczne uszlachetniło się i w tym kierunku. Zwłaszcza kobiety szlacheckie umiały się już wówczas bogato i gustownie ubierać.

Żona rycerza wkładała na płócienną lub jedwabną koszulę, długą suknię z drogiej materyi, sięgającą aż do spodu, zasłaniającą nogi, ubrane w trzewiki. Suknie oblamowywano futrem i zamykano pod szyją, jaką drogą spinką. Rękawy wązkie, szczelnie do ciała przylegające, ozdobione były wylotami spadającemi z ramion.

Na suknię tę zarzucały niewiasty średniowieczne płaszcz z lekkiej materyi, który podtrzymywały lewą ręką.

Panny ozdabiały swe główki wieńcami z kwiatów lub z brylantów, a mężatki zasłaniały twarz welonem. Rękawiczki były już wówczas w powszechnem używaniu.

Zrazu posługiwały się szlachcianki średniowieczne tkaninami krajowemi, później jednak przenosiły wyroby bizantyjskie nad swojskie, jako lepsze i wykwintniejsze.

Gdzież jest?...

Kiedy wśród zmiennych życia kolei,
Wysechł w mem łonie zdrój świętej łaski,
Zagasł ostatni promień nadziei,
Co wśród zwątpienia roztacza blaski,
Błogiej ufności — gdy ciężar biedy
Zgniótł mnie, zgnębiła rozpacz i troska:
Gdzież jest, o gdzież jest — wołałem wtedy,
Opatrzność Boska?

Puste to słowo, przebrzmiałe echo
Modlitw dziecięcych, nikła ułuda,
Która się staje dla ufnych w cuda
Wiekowej baśni, marną pociechą.

Czyż sprawiedliwy pośród tysiąca
Nikczemnych, w twardej życia potrzebie,
Znał kiedy czem jest owa błyszcząca
Gwiazda na niebie?

Czyliż szermierze zbrodni zajadli,
Owi czciciele brudów, rozpusty,
Co szyderczemi bluźnili usty
Cnocie i wierze, w proch się rozpadli?
Nie — oni żyją w szczęściu bezkarnie,
A jednak człowiek, który się sromem
Nie okrył nigdy, przepada marnie
Rażony gromem.

Kiedym niewiarą zmięty nikczemną,
Słowo bluźniercze wyrzucił z siebie,
Jakiś się wielki głos ozwał w niebie:
Milcz i kolana zegnij przedemną;
I ukorz czoło przed mem obliczem,
Bo przygnębiony chwilową troską,
Chcesz sądzić, człecze, opiekę Boską,
Gdy jesteś niczem!

Ją widać wszędzie: w jasnych promieniach
Słońca, co siłą twórczych skojarzeń,
Wyradza życie i w nocnych cieniach,
Które zsyłają rój złotych marzeń.
Dziś twarz twa skryta smutku żałobą,
Dziś cię pochyla ku ziemi troska,
Lecz i w tej chwili opatrzność Boska
Czuwa nad tobą.

Ona ci dała ten ból chwilowy,
Ten cień katuszy w życiu ofiarnem,
Byś blaskiem szczęścia olśniony marnem,
Nie legł przez zdrożne zwalczon narowy;
Lecz gdy z tej próby wyjdziesz zwycięzko,
Kiedy poskromisz żądz twych porywy,
To hartem ducha i siłą męzką
Będziesz szczęśliwy.

Ludwik Niemojowski.

KLEMENS JANICKI.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

PRZEZ

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg.)

Wydżga przystąpił do celu swej podróży. Opowiadał o nadzwyczajnych względach wojewody dla Maryckiego i o zaślepieniu, niedającem się wytłomaczyć dla Janickiego. Że syn mieszczucha i rolnika, odbierają dziś na zamku wiśnickim wyższe konsederacye, jak panowie: Szczerbowie, Pelka, Rozberski, Baranowski i Piotr Biały, którzy oddali tyle usług domowi Kmitów. Dodał, iż zaślepienie wojewody doszło do tego stopnia, iż wbrew kardynalnym prawom Rzeczypospolitej, chce na sejmie Piotrkowskim ich uszlachcić, a to uzy-

skawszy, pragnie Janickiego poślubić z panną Elżbietą Orzelską, aliantką najprzedniejszych rodzin Rzeczypospolitej. Gdy skończył swą relacyą, Drohojewski zerwał się z krzesła i zawołał:

— A to horrendum, mosanie, podwójne abusum natury i prawa. Pan Wojewoda nie jest dyktatorem, może mieć swe zdanie, ale i my mamy swoje i równie jak pan wojewoda poprzeć i utrzymać je potrafimy.

— Brawo! brawo! — wykrzyknął rotmistrz — to mi krew szlachecka, która na obronę swych prerogatyw, gotowa do największych poświęceń.

— Cóż ty na to powiesz sąsiedzie? Czy róg jeleni i bawoli twego herbu, nie najeżą się na takie abuza? — zapytał Drohojewski Krasickiego.

— Nie pochwalam zamysłu wojewody — odrzekł Krasicki — sprzeciwiają się one ustawom 1496 roku, lecz żądanie pana Kmity można-by zmodyfikować.

— Modyfikacya miejsca tu mieć nie może — przerwał Drohojewski — przypaszemy do boku karabele i pojedziemy na sejm piotrkowski. Czy bronić granic kraju, czy naszych przywilejów, to obowiązek każdego szlachcica; gdy gore, nie namyślać się ale działać potrzeba. Powiedz sąsiedzie, czy za piecem chcesz jeść kaszę, czy z nami ratować Rzeczpospolitę?

— Z wami wszędzie i zawsze — odrzekł Krasicki.

P. Wydżga i Drohojewski zerwali się z krzeseł, ujęli Krasickiego i po kilkakroć podrzucając go w górę, wołali:

— Niech żyje Biberszteјn Krasicki, filar i splendor naszego województwa.

Przyniesiono kilka butelek starego miodu, kielichy się wypróżniały i animusz wzrastał. Nawet rozważny pan Jakób Krasicki, z zapałem wykrzykiwał, że na sejmie piotrkowskim stanie jeżem przeciw zachciankom wojewody. Do późnej nocy obliczano stronników, tworzono plany opozycyi, a gdy się oczy kleiły i język plątać się zaczął, po serdecznym uścisku udano się na spoczynek. Ponieważ Wydżga miał przed sobą jeszcze długą podróż, zerwał się do dnia, aby wyjechać z Siecina, ale gospodarz wstał jeszcze raniej, kazał brykę rotmistrza zamknąć w wozowni, furmana spoił, a sam lamentując wszedł do izby gościa i błagał, aby wstydu mu nie robił i jak posłaniec wziąwszy odpowiedź nie zmykał.

Napróżno Wydżga wymawiał się, gospodarz całusami zamykał mu usta. Dopiero dnia trzeciego mógł rotmistrz opuścić dwór sieciński.

Zajeżdżał do domów na jednej wiosce osiadłej szlachty, do dworków zastawników magnackich fortun. Tam z oznakami wielkiego uszanowania był przyjmowany. Czeladź przebierano w świąteczne szaty. Jejmość po prababce wkładała manel i jubki okładane futrem. Gospodarz zrzucał kubrak i wkładał paradny kontusz. Synowie się schylali do kolan rotmistrza. W kuchni odbywała się rzeź najtłuściejszego drobiu, wszyscy byli zajęci uczczeniem tak dostojnego gościa. Bernardyn, który co trzeci dzień przyjeżdżał ze Mszą św., witał Wydżgę łacińską mową, w której równał go do najsławniejszych bohaterów starożytnego Rzymu, a bakałarz sprowadzony z Krakowa dla uczenia już wąsatych synów, w swem powitaniu poruszył wszystkich bogów Olimpu, dla uczczenia zwycięzcy pod Orszą. Na wieść przybycia Wydżgi, zgromadzała się okoliczna szlachta, a że dom był za szczupły dla przyjęcia tylu gości, biesiadowano pod rozłożystemi lipami, gdzie strugi słodkich wódek, wiśniaku i miodu wylewały się obficie. Szlachta zajęta rolnictwem, mało świadoma państwowych interesów, zaprzątniona domowemi sprawami, skwapliwie chwytała się każdej zręczności przypominającej, iż oni swemi przywilejami należą do składu Rzeczypospolitej. Nie wchodząc więc w rozbiór sprawy, gdy ją powołano do działania, stawała ochoczo, nie polegając na swem przekonaniu, lecz na rozumie przewódzcy. Tak zwykle bywa, gdzie cywilizacya nie idzie w parze z przywilejami.

Pan Wydżga nie miał wiele pracy, aby pobudzić szlachtę do opozycyi na sejmie piotrkowskim.

Przy brzęku szabel, krzyczała szlachta: „za tobą, rotmistrzu, choćby w ogień!" Przy licznych wiwatach, przy głośnych okrzykach i pożegnaniach, Wydżga w dalszą udał się podróż.

Gdy przyjeżdżał do wsiów, osadzonych samą zaściankową szlachtą, najprzód zajeżdżał do plebanii, gdyż wiedział, czem jest probostwo w takich osadach, że tam się rozstrzygają wszystkie domowe sprawy, godzą się niesnaski. Upomnienia, przestrogi i wyroki, słuchane i wykonywane są z uległością owieczek. Pasterz rządził tą trzodą, wcielał się w każdą rodzinę, chrzcił, błogosławił, grzebał i rozgrzeszał; cywilna i duchowa władza skupiała się w jego osobie. Wszystko więc zależało od proboszcza. Jednak przekonał się pan Wydżga, iż nie tak łatwo było z nim się sprawić jak ze szlachtą, był on oświeceńszy od nich, a nawet i od samego rotmistrza. W gościnie u proboszcza na sucho, bez kielicha, nie kleiły się jakoś p. Wydżdże frazesa, jednak jak mógł i umiał, przedstawił całą grozę zamysłów wojewody i prosił o wpływ na szlachtę, aby zagrzał ją do opozycyi na sejmie i uratował Rzeczpospolitą od zgorszenia i sromu.

Wesoła zwykle twarz proboszcza, posmutniała i po długiem milczeniu rzekł:

— Twoja relacya, p. rotmistrzu, wielce mnie zasmuciła.

— A to dlaczego, księże proboszczu?

— Bo widzę, żeście niepoprawni.

— Jakto?

— Ciągle grzeszycie waszą butą szlachecką — odrzekł proboszcz — sami korzystając ze swobód, drugim wzbraniacie do niej przystępu. Przez zasługi dostąpiliście szlachectwa, a w drugich nieuznajecie zasług; zdaje się wam, że tylko zacność krwi uszlachetnia człowieka, że dla was Bóg cały świat stworzył i pogardzacie tymi, którzy was żywią, którzy równie jak wy kochają ojczyznę. Zasługa czy oręża, czy pióra, powinna być jednakowo ceniona, daruj więc, rotmistrzu, że do twej sprawy ręki przyłożyć nie mogę.

Zmieszał się trochę Wydżga, lecz ochłonąwszy odrzekł:

— Dziwią mnie te słowa, wyrzeczone z ust duchownego i szlachcica; jako proboszcz jesteście urzędnikiem Rzeczypospolitej, jako szlachcic Stolarski, jesteście obowiązanym bronić przywilejów szlacheckich.

— Mylisz się, rotmistrzu. Jako duchowny, nie jestem urzędnikiem Rzeczypospolitej, ale sługą Kościoła, a nazwisko moje pochodzi od rzemiosła mojego ojca, który był stolarzem. Wszyscy są równie mymi braćmi, szlachta, mieszczanie i kmiecie, zarówno wszystkim służę, zarówno wszystkich kocham, a o szczęście nie dla jednej kasty, ale dla wszystkich codziennie Boga błagam. Jeśli-bym czynił jakąś różnicę, to umiłowałbym więcej tych co cierpią, których życie jest ciągłym trudem. Nasze powołanie, nie żyć z szczęśliwymi, ale wśród nędzy nieść pomoc i słowa pociechy.

— Twa perora, księżę proboszczu, dobra jest z kazalnicy, ale nie z ławek sejmowych.

— Właśnie, mój rotmistrzu, tym błądzicie, że co słyszycie z kazalnicy, nie wcielacie w życie. Nie mieszam się do spraw publicznych, lecz jeślibym chciał dać radę szlachcie, tobym wpłynął na nią, aby poszli za zdaniem wojewody, gdyż Marycki i Janicki, nietylko godni są szlachectwa, ale kraj cały niemi szczycić się może.

— Może ksiądz proboszcz przyjąć obydwóch na wiejskich bakałarzy, lecz my szlachta do siebie ich nie wpuścimy. Widzę, że uporu księdza nie przełomię, obejdę się więc bez niego i waszej zaściankowej szlachty.

Kiwnąwszy głową, wyszedł rozgniewany z probostwa, wskoczył na brykę i ruszył w dalszą podróż.

Kilkanaście jeszcze domów szlacheckich zwiedził pan Wydżga, wszędzie był z radością witany, z asumptem podejmowany, coraz mu się zacierała w pamięci niefortunna bytność u księdza Stolarskiego i tłomacząc upor proboszcza, myślał w duszy: „cham za chamem zawsze obstaje." Zapisawszy w swej agendzie wszystkie osoby, które poznał, po miesięcznej niebytności wrócił do wiśniowskiego zamku. Gdy po przyjeździe czynił inspekcyą, zajrzawszy do izb Maryckiego i Janickiego znalazł je pustemi.

Lica mu się z radości rozpromieniły, myśląc, że się ich pozbył na zawsze, że oczyścił się zamek od tych dwóch jak nazywał darmozjadów. Spostrzegłszy Grzesia, służącego pana Klemensa zapytał:

— Czy dawno wasi panowie wyjechali?

— Czy pan marszałek myślał, że my długo w tych ciemnych ciupach mieszkać będziemy?

— Z Panem Bogiem — odrzekł Wydżga — na lepszą i wygodniejszą kwaterę. Ciasno było tym zagranicznym włóczęgom na dworze pana wojewody.

— Teraz mieszkamy jak panowie, czasami i p. wojewoda przychodzi do pana Klemensa na pogadankę.

— Co ty bredzisz, ośle, czyś pijany?

— Jeśli pan marszałek nie wierzy, proszę pójść do pana Janickiego, może tam zastaniecie wojewodę, gdyż właśnie w tej porze często przychodzi.

— Gdzież twój pan mieszka?

— W samym zamku, obok komnat pana wojewody. Już od dwóch tygodni tameśmy się przenieśli.

Wydżga pobladł i oniemiał ze zdziwienia, kiwnął ręką na Grzesia by się oddalił, a sam ze spuszczoną głową, udał się do swojej izby.

Śmierć wojewodziny.

Na zamku w Wiśniczu wszystko zapowiadało prędkie urzeczywistnienie szczęścia dwojga serc zakochanych. Panna Orzelska stała się nieodstępną przyjaciółką wojewodziny, która słabnąc na zdrowiu, potrzebowała ciągle jej usługi i pieczołowitości, a nie mając potomstwa, całą na nią miłość macierzyńską przelała. Zajęta jej przy-

szłością, chciała swej ukochanej Elżusi zapewnić życie bez trosk i przyczynić się do jej szczęścia. Udzielała jej macierzyńskich przestróg, mówiła o obowiązkach małżeńskiego stanu, do którego wkrótce ma przystąpić, a panna Orzelska rozczulona dobrocią wojewodziny, dziękowała Bogu, że jej zesłał drugą matkę.

Wojewoda coraz bardziej oceniając umysłowe zdolności Janickiego, z dniem każdym do niego coraz więcej się przywiązywał, stał się mu niezbędnym. Ciągle zajęty myślą uszlachcenia Klemensa, kilkakroć pisał do królowej Bony, prosząc o jej wstawienie się do króla i na swe listy otrzymał pocieszającą odpowiedź, iż na sejmie piotrkowskim sam król przedstawi Janickiego i Maryckiego do godności szlacheckiej. Mając takie zapewnienia, Kmita był zupełnie spokojnym, a przyszłe połączenie się Janickiego z krewniaczką wojewody, nadawało mu poufałe stanowisko w zamku. Młodzieńcze serce Klemensa ledwo mogło pomieścić w sobie tyle uczuć, uderzało wdzięcznością dla wojewody, wrzącą miłością dla ukochanej i dziękczynną modlitwą do Boga za dar szczęścia, o którem bujna jego wyobraźnia zaledwie mogła niegdyś marzyć. I w tym przedświcie rozkoszy, myślami natchnienia, jakby kwiatami z niebieskich krain, okalał i wieńczył postać swego bóstwa. Czyje usta dotknęły się tego zaczarowanego kielicha, musi go spełnić do dna, chociażby na dnie były krople trucizny, które śmierć przynoszą.

Marycki był powiernikiem Klemensa, a chociaż jego umysł był czem innem zaprzątniony, jednak słuchał cierpliwie młodzieńczych uniesień, bo wiedział, że wezbrane wyłonić się pragną, a Marycki posiadał dar rzadki, umiał słuchać.

Zwykle, gdy szczęście nam się uśmiecha, gdy stoimy u brzegu spełnionych nadziei, gdy nie przeczuwamy żadnych przeszkód, fatalne przeznaczenie nietrwałości i znikomości wysnuwa jakąś czarną przędzę, która wplątana w nasze życie, okrywa żałobą po minionej szczęśliwej przeszłości. Słabość wojewodziny była początkiem wszystkich trosk i nieszczęść, które spaść miały na zamek wiśnicki. Wojewodzina cierpiała i z każdym dniem ubywało jej siły. Życie uciekało i nie można było go zatrzymać. Sprowadzono najlepszych lekarzy, królowa Bona przysłała słynnego Macieja Miechowitę, lecz rady jego pomyślnego skutku nie brały; królowa nasyłała różne włoskie eliksiry, lecz i gdy te nie pomagały, udawała się do czarów, które wówczas były często w użyciu; lecz i te żadnego polepszenia nie sprawiały. Wojewodzina gasła, jak dogorywająca lampa. Przytomność ją na chwilę nie opuszczała, czuła przybliżającą się chwilę śmierci, kazała czytać sobie psalmy pokutne, które dla niej mistrz Walenty Wróbel przełożył. Tydzień cały rozmawiała ze swym spowiednikiem, przygotowawszy się należycie, odbyła spowiedź z całego życia i opatrzona Sakramentami, wyrzekła słowa Szymona starca i Anny wdowy:

„Teraz, Panie, puszczasz sługę Twego w pokoju."

Po przygotowaniu się do wiecznej podróży, zaczęły się pożegnania, najprzód męża, który po upływie godziny, wyszedł zapłakany z komnaty żony i łkaniem napełnił zamek cały. Kazała później przywołać Elżbietę i Klemensa. Oboje uklękli przy jej łożu, wojewodzina długi czas na nich patrzała, łza zabłysła w jej oku, łza ostatnia, niewiadomo, czy tłomaczyła żal rozstania, czy jasnowidzeniem już ducha, widziała przyszłość ukochanych jej istot. Wychudłe i zimne ręce położyła na ich głowy i słabym głosem wymówiła:

— Ja za wami prosić będę Boga, bądźcie mężni, życie krótkie, prawdziwe szczęście za grobem.

Chciała więcej coś mówić, lecz jej tchu niestawało. Gdy Elżbieta i Klemens powstali, śmiertelna bladość okryła lice wojewodziny, oczy skrystalizowane śmiercią były nieruchome, serce bić przestało: Elżbieta upadła zemdlona, Janicki porwał ją w swe ramiona i bezprzytomny zaniósł do jej komnaty.

Gdy śmierć zabiera jedną osobę z rodziny, dom choć-by najludniejszy, staje się pustką. Długiego czasu potrzeba, aby opustoszone miejsce się zapełniło. Chwila zgonu wprowadza w dom nieład, zamieszanie, trwogę, łzy i boleść; te zwykłe towarzyszki śmierci, wstąpiwszy w progi, rozgaszczając się, obejmują wszystkich myśli i serca: wygnać je z domu człek nie ma siły. Lecz jest potęga wyższa nad ludzką, która powoli je z domu wypłasza, a tą potęgą jest *czas*. On rozpacz przeistacza w boleść, boleść w smutek, smutek w tęsknotę, a tęsknotę w wspomnienie, a gdy trafi na zimniejsze serce, przeszłość całą zmienia w zapomnienie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DYONIZA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMASA (syna)

PRZEKŁAD

Bronisławy K.

(Dalszy ciąg.)

SCENA V.

Marta, Dyoniza, późniéj **Służący.**

Marta (na stronie, dzwoniąc). Nie mówili do siebie nic! Nie dawali sobie żadnych znaków!... (Do służącego, który ukazał się we drzwiach.) Weź te nuty i zanieś je do mego pokoju. Powiedz zarazem pannie służącej, aby je zapakowała w walizę.

Dyoniza. Czy wyjeżdżasz, panno Marto?

Marta. Tak.

Dyoniza. Kiedy?

Marta. Jutro rano.

(Mówiąc, zbiera nuty i oddaje służącemu.)

Dyoniza. I dlaczego tak nagle wyjazd postanowiony.

Marta (nie odpowiada jej, woła natomiast na oddalającego się lokaja, podając mu jeszcze jakąś partyturę.) Weź jeszcze i te i oddaj pannie.

(Lokaj wychodzi.)

Dyoniza. Nie odpowiadasz mi pani?

Marta. Nic zgoła nie słyszałam.

Dyoniza. Pytałam się dlaczego pani wyjeżdża tak nagle?

Marta. Brat pozwolił mi, abym wróciła do klasztoru.

Dyoniza. Nie chcesz pani dłużej tu pozostać?

Marta. Nie.

Dyoniza. I cóż-to spowodowało panią do takiego postanowienia?

Marta. Chcę się wydostać z pod obrażającego mnie dozoru.

Dyoniza. I któż to panią tak pilnuje, czy wolno zapytać?

Marta. Dziwne pytanie! Wszak to ty sama, panno Brissot.

Dyoniza. Ja? a to jakim sposobem?

Marta. Kiedy przysłałam cię dziś rano po książkę do salonu...

Dyoniza. Kiedy mnie pani rano prosiła, abym przyniosła z salonu książkę, którą pani zapomniałaś przypadkiem lub naumyślnie...

Marta. Co pani chcesz przez to powiedzieć?

Dyoniza. Niech pani pierwej dokończy zaczętego zdania.

Marta. Kiedy pani poszłaś po ową książkę, spotkałaś tu mojego brata. Cóżeś mu powiedziała?

Dyoniza. Powiedziałam mu, że jesteś, jakaś nieswoja i rozdrażniona nerwowo i widzę, że nie popomyliłam się wcale. Radziłam mu również, aby ze względu na twoje usposobienie, nie pozwolił ci, panno Marto, jechać na ten spacer jedynie tylko w towarzystwie pani de Thauzette i jej syna.

Marta. Dlaczego?

Dyoniza. Bo to nie byłoby ani przezornie ani przyzwoicie!...

Marta. W czemże pani widziałaś ten brak przezorności lub przywoitości?

Dyoniza. W tem, że pani de Thauzette i jej syn są niezbyt wytrawnymi jeźdzcami, aby ich opiece można powierzyć osobę tak mało oswojoną z konną jazdą jak pani. Prosiłam więc mojego ojca, który wybornie powoduje koniem i jest bardzo uważny, ażeby ci towarzyszył.

Marta. I żeby ciągle jechał obok mnie.

Dyoniza. Ażeby ci się, pani, nie przytrafiło nic złego i na szczęście nic ci się nie stało...

Marta. A więc! jakże to pani nazwiesz, jeśli nie dozorem?

Dyoniza. Ja to nazywam opieką.

Marta. Ja zaś, nazywam to szpiegostwem!

Dyoniza (po chwilowem milczeniu). Gdybym chciała panią szpiegować, jak to pani mówisz, dość mi było oddać panu de Bardannes tę książkę, po którą ośmieliłaś się... posłać mnie tutaj a w której ukryty był liścik pana de Thauzette...

Marta. Jakto? Czyżbyś pani rozerwała opaskę na książce?

Dyoniza. To było zbyteczne. Dość mi na tem, że widziałam kto ją pani przyniósł. Wiem dobrze w jaki sposób pan de Thauzette pisuje do młodych dziewcząt.

Marta. Czy i z panią korespondował w ten sposób?

Dyoniza. Być może.

Marta A! przyznajesz się więc pani!

Dyoniza. Nie mam się do czego przyznawać, a tem bardzie przed panią. Za wszystkie dowody czułości i przywiązania, które na każdym kroku pani dawałam, odpłacasz mi teraz nieufnością i zniewagą. Nie masz pani prawa obchodzić się tak ze mną i ja nie pozwolę sobie ubliżyć. Pani ani się domyślasz, jaki interes mogą mieć ci ludzie, którzy panią tak zwodzą. Wyobraźnia twoja podniecona rozmyślnie, bawi się snuciem jakiegoś romansu, w którym serce bardzo mały bierze udział, lecz w którym natomiast twój honor i godność osobista ciężko ucierpieć mogą. Ja przewiduję to

i pragnę cię przed tem osłonić. Brat twój, któremu zawdzięczamy wszystko, powierzył cię mojej opiece i dopóki on nie zwolni mnie z tego obowiązku, co był dla mnie tak miłym a zawsze świętym pozostanie, będę go pełnić jak się należy. W godzinę po pani wyjeździe, ja również dom ten porzucę, bo tu już dla mnie nie będzie odpowiedniego stanowiska. Wyniesiemy się gdzie na poddasze, ojciec zajmie się przepisywaniem jak dawniej, ja szyć, biegać będę za lekcyami, może nawet, wystąpię na deskach teatralnych, jak się wyraża pani de Pontferrand, ale w niczem nie przyczynię się do twojej zguby; owszem uczynię wszystko ażeby cię ocalić i przysięgam, że cię ocalę, nawet wbrew twojej woli, choćbym w tej walce miała utracić życie lub nawet honor!... Żegnam panią!...

(Wychodzi.)

Marta (sama). Oh! jakaż ze mnie zła i niegodziwa dziewczyna!...

KONIEC AKTU II-go.

AKT III.

Dekoracya ta sama.

SCENA I.

Pani Brissot, Służący, później Pani de Thauzette.

(Pani Brissot porządkuje jakieś papiery, które trzyma w ręku i dzwoni na służbę.)

Pani Brissot (do wchodzącego lokaja). Oto jest jadłospis na dzisiejszy obiad.

Służący. Na ile osób mam nakryć?

Pani Brissot. Ma być osób jedenaście.

Służący. Jakto jedenaście?

Pani Brissot (licząc). Pan hrabia, panna Marta, pani de Thauzette z synem, pan Thouwenin, państwo de Pontferrand z córką.

Służący. To dopiero ośm.

Pani Brissot. Mój mąż, moja córka i ja, to jedenaście.

Służący. A! państwo wszyscy będziecie tu na obiedzie?

Pani Brissot. Tak.

Służący. A jakie podać wina?

Pani Brissot. Ja sama pójdę do piwnicy wybrać je. Teraz możesz odejść.

(Służący wychodzi nie wypowiedziawszy tego co miał na myśli. Pani de Thauzette wchodzi.)

Pani de Thauzette (do pani Brissot, która podchodziła ku drzwiom). Szukałam cię właśnie, kochana przyjaciółko.

Pani Brissot. Przepraszam, nie widziałam cię wcale.

Pani de Thauzette. Naprawdę?

Pani Brissot. Wychodziłam już przecie.

Pani de Thauzette. Ale, bo od czasu, jak tu bawimy z Fernandem, unikasz nas widocznie.

Pani Brissot. To tylko ci się zdaje, zresztą z waszym przyjazdem przybyło mi zajęcia.

Pani de Thauzette. Muszę się rozmówić z tobą.

Pani Brissot. O cóż to idzie?

Pani de Thauzette. Nie wątpisz o mojej przyjaźni?

Pani Brissot. Ależ bynajmniej, dałaś nam przecie najlepszy jej dowód, wyrabiając posadę dla mojego męża u pana de Bardannes.

Pani de Thauzette. Oddawna wzdychałam do tego, aby wam się stać użyteczną. Jesteścież przynajmniej szczęśliwi?

Pani Brissot. O! bardzo szczęśliwi!

Pani de Thauzette. I chcielibyście aby to szczęście trwało ciągle?

Pani Brissot. Codziennie o to z pokorą proszę Boga. Zresztą zdaje mi się, że pan hrabia jest zadowolniony z usług mojego męża.

Pani de Thauzette. Zadowolniony najzupełniej; sam mi o tem mówił.

Pani Brissot. A więc wszystko idzie jak najlepiej.

Pani de Thauzette. Tak, z tej strony nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Pani Brissot. Na Boga! cóż się stało?

Pani de Thauzette. Jakto! nie wiesz o niczem? Andrzej, (Poprawiając się.) Pan de Bardannes nic ci nie powiedział?

Pani Brissot. Nic, zupełnie.

Pani de Thauzette. Ani Marta?

Pani Brissot. Nie widziałam jej dziś wcale.

Pani de Thauzette. A Dyoniza?

Pani Brissot. I ona nie wspominała mi o niczem.

Pani de Thauzette. Naprawdę?

Pani Brissot. A dlaczegóżbym miała taić.

Pani de Thauzette. Może proszono cię o tajemnicę?

Pani Brissot. Upewniam cię, że nic nie wiem i nic mi nie powiedziano.

Pani de Thauzette. Pomówmy więc szczerze.

Pani Brissot. Tak, jak dawniej.

Pani de Thauzette. Tak, jak dawniej; nie mamy przecież dla siebie tajemnic.

Pani Brissot. Ja mianowicie nie mam nic do ukrywania.

Pani de Thauzette. Czy jeszcze masz do mnie urazę?

Pani Brissot. Za co?

Pani de Thauzette. Za to niedoszłe małżeństwo.

Pani Brissot. Bynajmniej. Ale mówmy o tem co ciebie tu sprowadza w tej chwili.

Pani de Thauzette. Wszystko to o czem będziemy mówić, musi pozostać tajemnicą między nami.

Pani Brissot. Jeśli sobie tego życzysz...

Pani de Thauzette. A więc powiem ci, moja droga, że jakkolwiek czujecie się tu zupełnie szczęśliwemi, czeka was bezwątpienia jeszcze większe szczęście! Chciałam być pierwszą osobą, która ci o tem powie, zdaje mi się bowiem, że ja jedna wiem to dopiero.

Pani Brissot. I cóż to takiego?

Pani de Thauzette. Pytasz tak obojętnie, jakby ta wiadomość nie zrobiła na ciebie wielkiego wrażenia.

Pani Brissot. Trochę szczęścia na świecie jest już tak rzadką rzeczą, że nadmiar tego szczęścia przeraża mnie zawsze. Tem bardziej, droga przyjaciółko, że z taką ostrożnością oznajmiasz mi tę radość, jakby ona była co najmniej klęską.

Pani de Thauzette. A więc powiem rzecz całą w dwóch słowach: pan de Bardannes kocha Dyonizę.

Pani Brissot (przerażona). Któż ci to powiedział?

Pani de Thauzette. On sam; fakt ten nie podlega już zatem żadnej wątpliwości. Ale dlaczego ta wiadomość tak cię przestraszyła?

Pani Brissot. Nie przestraszyła mnie lecz zadziwiła niewymownie, tem więcej, że pan de Bardannes zwierzył się z tem tobie.

Pani de Thauzette. Dlaczego?

Pani Brissot. Najpierw dlatego, że ty powinnaś być ostatnią jego powiernicą; powtóre, że znając jego charakter sądziłam, iż pojmuje, komu należało o tem powiedzieć.

Pani de Thauzette. Hrabia wcale mi się nie zwierzał, ja przypadkiem odkryłam jego tajemnicę; ale czy tak, czy owak, to wszystko jedno. Jeżeli dotąd nie wspominał jeszcze o tem ani tobie, ani twemu mężowi, ani Dyonizie, to tylko dowód, że się waha jeszcze trochę, albo raczej zastanawia, gdyż pojmujesz, moja droga, że on chce się ożenić z Dyonizą.

Pani Brissot. A! więc mówisz, że ma ten zamiar?

Pani de Thauzette. I cóż ty na to, moja droga?

Pani Brissot. Widzę, że miałam słuszność obawiać się nadmiaru szczęścia. Ta wiadomość zaniepokoiła mnie bardzo.

Pani de Thauzette. Jakto! człowiek, któremu twojego męża zarekomendowałam jako prostego rządcę, który zaufał wam do tego stopnia, że mężowi twojemu powierzył zarząd całych dóbr, tobie rządy domowego gospodarstwa, Dyonizie opiekę nad siostrą i gdy powiadam ci, że człowiek ten zakochany w twej córce do szaleństwa, chce się z nią żenić, to ty na tę wiadomość, która kogo innego napełniłaby radością, czujesz się tylko bardzo zaniepokojoną. Czegóż więc chcesz więcej, moja droga przyjaciółko?

Pani Brissot. A jeśli Dyoniza nie kocha pana de Bardannes? Jeżeli mu wręcz odmówi? W jakiem więc będziemy położeniu, zważywszy na prośbę hrabiego i odmowę mojej córki?

Pani de Thauzette. Jakto! Jeżeli nie kocha?... Jeżeli odmówi? Ależ nie obawiaj się, przyjmie go i pokocha! Każda uboga dziewczyna a tembardziej Dyoniza, która ma tyle taktu i rozsądku, pojmie z łatwością, że to wielkie szczęście iść za mąż za człowieka młodego, zacnego, dobrego urodzenia i bogatego. Czy to jej źle będzie, gdy zostanie hrabiną i milionerką?

Pani Brissot. A jeśli pierwsza miłość, jakiej doznała w życiu, wrosła tak głęboko w jej serce, że wydrzeć jej ztamtąd już nikt nie potrafi?

Pani de Thauzette. Czy myślisz o Fernandzie?

Pani Brissot. Tak, o Fernandzie, o twoim synu.

Pani de Thauzette. Ależ to dzieciństwo!

Pani Brissot. Dla niego być może, ale czy i dla niej również?

Pani de Thauzette. Wszystko to już przeszło i jak to mówią, nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło. Fernand, letkiewicz, rozrzutnik a przytem kawał urwisa, miłość macierzyńska nie zaślepia mnie w tym razie, chociaż muszę dodać, że teraz poprawił się bardzo, Fernand mówię, byłby najgorszym mężem, a Dyoniza najnieszczęśliwszą z kobiet; nie mówiąc już o tem, że majątek nasz był już w owym czasie mocno nadszarpnięty i że teraz grozi nam prawie ruina. Cóżby się zatem z nami stało, gdyby Fernand poślubił był Dyonizę? W życiu trzeba głównie unikać takich zmartwień, które się już nie dadzą naprawić. Cierpienia miłosne łatwo ukoić, lecz gdy małżonkowie są niezadowolnieni z siebie, o jakże trudno znaleść na to radę. Ty jako matka, sama najlepiej ocenisz, który z nich dwóch będzie lepszym mężem: Fernand, czy Andrzej! Dyoniza przyjmie z pewnością oświadczenie hrabiego i ręczę, że nawet nie wspomni o Fernandzie. Bo i na cóż? Wyznaj mężczyźnie cośkolwiek w najniewinniejszej myśli, a on zaraz przypuści dziesięć razy tyle niż było w istocie. Przyznać się tylko trzeba wtedy,

gdy już wykręcić się niepodobna i to jeszcze zależy od mężczyzny, który musi być bardzo przebiegły, jeśli kobieta nie zdoła wyprowadzić go w pole. A gdzież są ci przebiegli mężczyzni? Lecz gdy mężczyzna kocha i ufa bez granic kobiecie, kiedy jest tak szczęśliwy, żeby świat cały chciał przycisnąć do łona; to już trzebaby być zbyt naiwną, aby samej dobrowolnie wyznać mu, że się kochało innego i że pokochać drugiego z równą miłością już jej niepodobna... Zresztą nie idzie tu tylko o Dyonizę, ale i o innych...

Pani Brissot. O kogóż mianowicie?

Pani de Thauzette. O ciebie, o twego męża, o mnie, o Fernanda i o Martę.

Pani Brissot. O pannę Martę.

Pani de Thauzette. Jakto! czy ty nic nie widzisz, moja duszko? Fernand kocha Martę i Marta go kocha; chcą się pobrać, lecz Andrzej nie zezwala na to małżeństwo i Marta jutro wraca do klasztoru, gdzie oczekiwać będzie dojścia do pełnoletności, a Dyoniza zamiast zamknąć oczy i udać, że nie widzi tego, co do niej, mówiąc nawiasem wcale nie należy, Dyoniza przeszkadza im jak może, a jeżeli jeszcze będzie tak naiwną, że opowie Andrzejowi historyą swej sielanki z Fernandem, to postępowanie jej względem Marty przybierze wtedy charakter złośliwej urazy. Nikt nie powie inaczej, tylko, że przez nią przemawia chęć zemsty i zazdrość o Fernanda. Marta i tak już oburza się na nią i przed chwilą przemówiły się na dobre. Przypuśćmy, że Dyoniza, dla jakiegobądź powodu, odmówi swej ręki Andrzejowi, to obecność jej w tym domu, po odjeździe Marty stanie się niemożebną. Dopierożby miały o czem gadać wszystkie kumoszki z okolicy; taka pani de Pontferrand i inne, ubarwiłyby stokroć jeszcze jaskrawiej to co już puściły w obieg.

Pani Brissot. I cóż one mogły powiedzieć?

Pani de Thauzette. Co? bagatelkę tylko: że Dyoniza jest kochanką Andrzeja!

Pani Brissot (siadając na krześle). Mój Boże! mój Boże! zawsze spotyka mnie coś złego! Wstyd lub obelga. Czyż ludzie nie pozwolą mi nawet umrzeć spokojnie?

Pani de Thauzette. Taki to świat, moja droga, i my go już nie zmienimy. Trzeba tylko mieć siłę woli, aby odeprzeć te zarzuty; a ponieważ dążenia nasze są jednakie, powinniśmy iść ręka w rękę. Na co zdało martwić się, trzeba działać z zimną krwią i rozsądkiem. Andrzej kocha Dyonizę: to dla was szczęście całkiem niespodziewane. Miej to ciągle na myśli i zdążaj do raz obranego celu. Dyoniza powinna milczeć i poślubić hrabiego. Fernand i Marta kochają się także szalenie; niech więc Dyoniza słówko tylko szepnie Andrzejowi, a nie będzie się dłużej sprzeciwiał temu związkowi, bo to przecież widoczne, iż we wszystkiem ulega jej zdaniu. No i cóż ty na to? Wszak to wszystko jest bardzo prostą i naturalną rzeczą. Ale niechże stanie się inaczej, przypuszczam, że Marta wyjedzie a Fernand poróżni się z Andrzejem, to i ja zniewolona ująć się za synem, będę musiała zerwać z hrabią, który od lat piętnastu jest moim przyjacielem. Po takiem poróżnieniu noga moja nie postałaby już w tym domu, gdzie zostaliście, dzięki mojej rekomendacyi, tak serdecznie przyjęci. Gniew Andrzeja, potwarze, plotki i nędza, spadłaby na was; Fernand i Marta byliby w rozpaczy, a wszystko dlatego, iż Dyoniza nie chce zrobić tak małej rzeczy: nie chce milczeć. Tam do licha, jak mówił stary proboszcz z mojej wioski, jeśli pieczone gołąbki, same lecą nam do gąbki, pożywajmy je póki świeże.

Pani Brissot. Rozumiem, droga przyjaciołko, jaki masz cel w tem, aby żadne z nas nie powiedziało ani pannie Marcie, ani panu de Bardannes, że Fernand jest człowiekiem, który nie dotrzymuje słowa, że przysiągł iż się z Dyonizą ożeni, a nie uczynił tego. Ale masz słuszność, nie mówmy już o tem. Pan de Bardannes niczem nie okazuje tego uczucia, któreś ty podpatrzyła, my zaś, naszem postępowaniem w niczem nie przyczyniliśmy się do rozbudzenia tej miłości. Pragnienie czegoś więcej nad to, co pan de Bardannes nam ofiarował, byłoby niewdzięcznością. Nie wypada nam również mieszać się do jego spraw rodzinnych, ani kłamać gdy nas o co zapyta. Postępowanie takie byłoby podstępną zdradą. Czekajmy więc. Cokolwiekbądź się stanie, jestem pewna, że Dyoniza postąpi tak, jak jej to sumienie nakazuje.

(Pani Brissot kończąc te słowa, chwieje się, jakby była bliską omdlenia i machinalnie chwyta rękę pani de Thauzette.)

Pani de Thauzette. Co ci jest?

Pani Brissot. Nic, nic, zdawało mi się, że upadnę. Chwilami doznaję takiego zawrotu głowy, że zdaje mi się, iż ziemia kręci się coraz prędzej. Ale otóż hrabia, odchodzę więc: boję się, abym nie powiedziała coś niewłaściwego. (Na stronie.) Jestem bliską szaleństwa.

(Wychodzi.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIKTOR HUGO.

Francya poniosła wielką i niepowetowaną stratę. W dniu 22 b. m. popołudniu, Wiktor Hugo zamknął oczy na wieki. Cała Francya okryła się powszechną żałobą, a telegraf rozniósł natychmiast po całym świecie wieść smutną, że ojciec romantycznej poezyi francuzkiej, jeden z najgenialniejszych autorów żyć przestał.

Nie kusimy się wcale o pisanie życiorysu poety, ani o kreślenie dziejów jego poetyckiej i w ogóle autorskiej działalności — na to potrzeba tomów, a pobieżny artykuł dziennikarski setnej części tego objąć nie zdoła.

Hugo żył długo na świecie, Opatrzność dała mu doczekać sędziwej starości i widzieć własnemi oczami uwielbienie i wdzięczność jaką go naród otaczał. Wyrobiło to w nim nawet pewną dumę, którą wszakże wybaczyć mu należy. Największy nawet geniusz jest tylko człowiekiem, a któryż człowiek jest wolnym od słabostek.

Wielki romantyk przyszedł na świat 26 Lutego 1802 roku w Besancon, z rodziny w której przekonania royalistowskie były ugruntowane głęboko.

Ojciec jego był gubernatorem wyspy Elby. Pierwotnem wykształceniem poety, zajmował się generał Lahorie, skazany przez Napoleona I na wygnanie, a następnie rozstrzelany w Paryżu. Wiktor Hugo w bardzo młodym wieku zdradzał skłonność do pióra. Mając zaledwie lat 14, pisywał już dramaty i poezye.

Z początku ściśle się trzymał wzorów klasycznych, lecz to trwało nie długo; talent Hugona był zanadto wielki, aby trzymał się szkoły jakiejkolwiek, sam on raczej mógł stworzyć szkołę i rzeczywiście ją stworzył. Pierwsze jego utwory większe, jak: „Han Islandyi", „Bug Jargal", „Ostat dzień skazanego", „Marion Delorme" i „Herna ni", zwróciły nań uwagę powszechną i postawił odrazu na stanowisku pierwszorzędnego pisarz. Później dzieła Hugona sypały się jak z rogu obf tości: „Le roi amuse", Lukrecya Borgia", Mary Tudor", „Ruy Blas", a obok nich przepiękne lir ki, jak: „Les orientales" Feuilles d'Automne" „Chant de Crepuscule", „Voix interieures", „Le rayons et les ombres", szybko jedne po drugic ukazują się na półkach księgarskich i rozchwyty wane są przez publiczność.

W roku 1831 ukazuje się „Notre Dame de Pa ris", w r. 1841 Akademia otwiera przed Wikto rem Hugo swe podwoje, a w r. 1845 czterdziest kilkoletni poeta zostaje parem Francyi.

Nadchodzi zamach stanu i Napoleon III przy wdziewa purpurę cesarską. Wiktor Hugo, wy gnany z kraju osiada na wyspie Jersey. Wielkoś jego wzrasta z oddalenia, sympatya narodu towa rzyszy mu na wygnaniu, a każde jego dzieło, w lo rozchwytywane zostaje. Tam na owej samotne wysepce, wsłuchując się w szmery i głosy fal mor skich, Hugo stwarza „Nędzników" i przepiękny pełen fantazyi i niezwykłego bogactwa obrazowa nia poemat prozą: „Pracowników morza".

Tam powstał także „Człowiek śmiechu" i wiel poematów zebranych w dwa dzieła: „Contempla tions" i „Legendy wieków" (dwa tomy).

Napoleon III udzielił mu amnestyę i poeta mógł powrócić do kraju; nie chciał jednak z udzielonej mu łaski korzystać i znalazł się na ziemi ojczystej dopiero w roku 1870, gdy w dymie armat niemiec kich, grzmiących pod Sedanem, słońce Napoleona zagasło na zawsze. Wypadki ówczesne wstrząsnęły silnie duszę poety; widział on kraj swój upadłym prawie, pognębionym, deptanym nogą zwycięzcy, który dyktował ciężkie warunki pokoju. Wszystkie te jednak wrażenia przygnębiające i ciężkie, nie zdołały złamać silnego ducha poety, przeciwnie raczej, dodawały mu one bodźca do energicznej pracy. Rzucił się w wir polityki, do której jednak nie posiadał wielkich zdolności; przemawiał z trybuny parlamentarnej, pisał broszury polityczne, wreszcie w roku 1876 został senatorem. W ostatnich piętnastu latach, to jest od powrotu z wygnania, aż do chwili zgonu prawie, Hugo nie ustawał w pracy. Napisał w tym czasie: „L'amée Terrible", „Quatre-Vingt-treize", „Mes fils", „Aches et paroles", „L'art dêtre grand père", „Legendes des Siècles" (serya II), „Histoire d'un crime", „Le Pape", „Religion et religions", mystyczny poemat „L'âne", „Le quatre veats de l'esprit", zbiór różnorodnych urywków poetycznych, wreszcie: „Toute la lyre".

W roku 1882, z okazyi ośmdziesięcioletniej rocznicy urodzin poety, poczęło wychodzić zbiorowe, pomnikowe dzieł jego wydanie.

Śmierć Wiktora Hugo wywarła w Paryżu wielkie wrażenie, cała ludność przyjmowała udział w żałobnym obchodzie, a wszystkie dzienniki przepełnione są szczegółami, dotyczącemi ostatnich chwil poety. Możemy jednak twierdzić, że strata tak genialnego człowieka, dotyka nietylko Francyę, lecz cały świat cywilizowany, gdyż Hugo wywarł wielki wpływ na literaturę ogólną, a dzieła jego były tłomaczone na wszystkie języki. I nasze piśmiennictwo posiada w przekładach, większą część utworów francuzkiego wieszcza, a powieści jego cieszą się wśród naszych czytelników wielką popularnością.

Wiktor Hugo posiadał talent niezwykły, jako pisarz zajaśniał blaskiem pierwszorzędnej gwiazdy

i słusznie zaliczonym zostanie w poczet najgenialniejszych ludzi swego czasu. Umysł jego nadzwyczaj śmiały, lotny, niezależny, targał niejednokrotnie te więzy, które my czcimy i szanujemy; chciał nieraz obalać ideały przyświecające milionom: ztąd też z kierunkiem jego myśli nie zawsze można się godzić.

Bez względu jednak na takie lub owakie przekonania, ludzie wszelkich stronnictw i wierzeń, muszą uznawać jego genialność i nad otwartym grobem powiedzieć: oto najświetniejsza gwiazda poezyi współczesnej zagasła, oto najgenialniejszy człowiek spoczął w ziemi, dla której tak wiele uczynił.

Ż pod naszej strzechy.

Treść: Obniżanie się temperatury. — Szalony orkan w Wiedniu. — Na Kahlenbergu. — W Dornbach. — W Szwajcaryi. — Mgła w Londynie i straty ztąd poniesione. — Złodziejstwo u nas i za granicą. — Koniokradztwo. — Samosąd i kwestya jego usunięcia. — Głos matki. — Pozytywiści warszawscy. — Jednostki stracone. — Kobiety obywatelki. — Meiningeńczycy. — Wilhelm Tel. — Pracowitość Meiningeńczyków. — Artyści nasi.

Na ogólne obniżenie się temperatury w całej Europie, coraz liczniejsze skargi głoszą pisma zagraniczne. W Grudniu roku zeszłego straszliwy cyklon nawiedził Wiedeń i stawszy się powodem mnóstwa szkód bardzo dotkliwych, zepchnął z szyn jeden z pociągów kolejowych. Niedawno znowu na ten sam gród, nad pięknym modrym Dunajem, napadł szalony orkan, połączony z ulewą: poniszczył kanały, pozrywał dachy, poprzewracał kominy, spustoszył ogrody i mnóstwo drzew powyrywał z korzeniami. Na Kahlenbergu śnieg leżał na 6 cent. wysokości; w Dornbach pod Wiedniem runął dom, lecz mieszkańcy ostrzeżeni trzaskaniem belek, zdołali na czas uratować się ucieczką, oprócz jednej sparaliżowanej staruszki, którą, gdy burza ustała, znaleziono całą i żywą śród gruzów na łóżku z krzyżem w ręku. Łąki i ogrody w Dornbach pokryte zostały śniegiem a szkody poczynione w zbożu, owocach i jarzynach, obliczyć się nie dają.

Podobne nawałnice śnieżne, z wielką klęską mieszkańców, szalały: w Ischl, w Bernie, w Ołomuńcu i jego okolicy, w Tyrolu: w Monachium zaś temperatura spadła niżej zera i zaraz potem wieczorem rozpoczęła się ulewa, która nazajutrz zmieniona w śnieżycę, ulice pokryła warstwą śniegu na 3 cent. grubą. W całej także Szwajcaryi wschodniej spadł równie obfity śnieg, niwecząc prawie cały spodziewany zbiór owoców, w Londynie zaś tak gęsta mgła panowała, że przez cały dzień latarnie się paliły, zużywszy gazu za 130,000 franków. Najstraszliwsza jednak katastrofa spadła na podróżnych w Armenii, w pobliżu jeziora Wan. Według bowiem dzienników stambulskich, w okolicy tej z gór Ak-Daghu, stoczyła się tak wielka lawina, że zasypała całą karawanę, złożoną z 75 osób, z których siedm tylko ocalało.

Dzienniki angielskie obliczając wydatek na oświetlenie Londynu podczas mgły poniesiony, powiadają, że te są niczem w porównaniu ze szkodami sprawionemi przez złodziei, umiejącymi wybornie każdy wypadek niezwykły wyzyskać.

U nas podobnych opryszków niepospolita jest liczba: gdzie obrócić się, wszędzie z nimi spotkać się można, a nawet tam, gdzieby się tego najmniej spodziewać należało. Jesteś w kościele, pilnuj się, bo dla złodziejskiej ręki, świątynia nie stanowi żadnej zapory. Wsiadasz do tramwaju, także bacz na swą kieszeń, bo ani się spostrzeżesz, jak ją zręcznie opróżnią; szczególniej jednak strzeż się tłoku, najmniejszego zbiegowiska, nagłego skupiania się idących, jak to bywa przy wychodzeniu z cyrku, bo wszystko to są łapki na twą dobroduszność, zastawiane z taką zręcznością, że tylko przy nadzwyczajnej ostrożności można nie dać się schwycić.

Za granicą, kradzieże proste dla małego zysku nie wiele praktykowane, chociaż na wszystkich większych stacyach kolei żelaznej, wszędzie rozwieszone drukowane przestrogi, zwracają uwagę na kieszonkowych złodziei. Zawsze jednak kradzieży koni nie ma tak uorganizowanej jak u nas, i nie ma pośredników za oznaczoną opłatą zwracających łup nieprawnie nabyty. U nas posiada ich prawie każda okolica, wywiązujących się ze swego zadania jak najrzetelniej, a gdy poszkodowani śmielszej natury, oskarżali ich jako wspólników szajki złodziei, odpowiadano im, że wynagrodzenie biorą tylko za wykrycie kradzieży, za którą nagroda przez samych poszkodowanych była wyznaczoną: jakże więc można pociągać ich do odpowiedzialności?

Przed takiem objaśnieniem, naturalnie uchylono głowy i nie na żarty inteligentniejsi zaczęli myśléć o zobowiązaniu się owym pośrednikom do składania stałej rocznej opłaty za bezpieczeństwo swej stajni, a lud postanowił sam się załatwiać ze schwytanymi koniokradami. Pan C. Neyman, podnosząc kwestyą tę w „Prawdzie", powiada bardzo słusznie, iż jedynym środkiem pozbycia się tego nadużycia, jest usunięcie jego potrzeby. A jak ją usunąć? To inna kwestya, w obec której przychodzą na myśl rozmaite marzenia w dziedzinie oświaty ludowej, reformy administracyjnej, samorządu, sądownictwa i t. d.

Otóż znowu marzenia, na które tak niegdyś powstawano i łajano tych, że się niemi zaprzątali!

W „Roli", jedna z zacnych matek obywatelek, wniosła głos w obronie najszlachetniejszych ideałów polskiej niewiasty, każonych od pewnego czasu prądem materyalistycznym pod osłoną nibyto postępowych haseł. Nie winą to jednak pozytywizmu ale jego głosicieli, którym brak przedewszystkiem... odpowiedniej nauki. Pozytywizm nie jest systematem filozoficznym, ale tylko metodą dochodzenia prawdy, znaną od najdawniejszych czasów przez starożytnych mędrców. Kto więc uważa się za pozytywistę, sam nie wie czem jest i czego żąda. W Warszawie podobnych dość liczny znajduje się poczet, zwanych dlatego Pozytywistami warszawskimi. Krzykliwe to plemię, butne i rezolutne, z czubem zawsze zadartym, a okiem zysku wypatrującem, jedyne do wydmuchiwania baniek mydlanych, podnoszenia ramion ze wzgardą, na wszystko co im obce, zapełnia się przybyszami, od których każdy... ucieka, aby go przypadkiem do ich liczby nie policzono. Tacy broją wiele złego, obałamucają nawet główki młodych panienek, pragnących błyszczéć jak oni pozorem nauki. Są to wszystko jednostki stracone, jak kłosy w polu zarazą dotknięte; plon jednak ogólnego dorobku niewiele na tem traci; dobre nad złem zawsze bierze górę.

Jeden z poważnych mężów włoskich, czytamy w zakończeniu głosu matki, senator Marko Faberini, w odczycie dla kobiet, powiedział niedawno z katedry publicznej: w pochłaniającej wszystko rzeczywistości, kobieta jedna stoi na straży ideału. Ona jedna powołaną jest do podniesienia uczuć moralnych, do otoczenia miłością rzeczy szlachetnych i pięknych, do osładzania trosk i upokorzeń życia.

Zacne i rozumne słowa! Takich kobiet, któreby umiały pojmować swoje zadanie najszczytniejsze i nam przedewszystkiem jak najwięcej trzeba. Potrzeba nam nieobałamuconych, o zatrutych sercach pozytywistek, ale obywatelek umiejących czuć głęboko i myśléć rozumnie, a nadewszystko zdolnych do szczepienia cnoty i podniesienia uczuć moralnych w społeczeństwie. Jakiż to głos zacny i poczciwy!

Meiningeńczycy skończyli swoje przedstawienia w Teatrze Wielkim i obecnie rozpoczęli cykl gościnnych widowisk w Królewcu. Zabawka ta Warszawę kosztowała podobno do 40,000 rubli, co kwotką jest wcale przyzwoitą. Gdyby nie wypędzenie 30,000 braci naszych z Poznańskiego, nicbym przeciw temu wydatkowi nie miał do powiedzenia: wśród trosk życia, zabawa jest ową oazą, w której biedny wędrownik krzepi siły na dalszą wędrówkę. Bawiąc się więc, niech za zabawę płaci, zwłaszcza gdy ją stanowi przedstawienie Wilhelma Tela, ze wszystkiemi szczegółami zapisanemi w historyi. Nic w niem nie brakuje: scena z jabłkiem przeraża, zmowa spiskowców dreszczem przejmuje, widok chaty, Tela z toporem w ręku a żony jego z kołowrotkiem, szczególną lubością napełnia duszę; śpiew zaś kościelny pełen powagi, przeplatany urywkami muzyki weselnego grona, coraz się więcej oddalającego w górskie wyżyny, korzy słuchacza w duchu i rozrzewnia. Było to jedno z naświetniejszych przedstawień, godnego zazdrości tych, co go nie widzieli. Złudzenie pod każdym względem było zdumiewające, a choć przedstawienie trwało z małemi nadzwyczaj antraktami, całe cztery godziny, choć głód dokuczał a upał dusił, wytrwano do samego końca i przed ostatecznem zapadnięciem kortyny nikt się z miejsca nie poruszył.

Pracowitość także artystów zdumiewająca. Po południowem przedstawieniu, od pierwszej do piątej, wystąpić powtórnie w tych samych, dość męczących rolach o w pół do ósmej, nie schodząc ze sceny, aż około samej północy, to niemałego wysiłku wymaga. Tak jednak Meiningeńczycy występowali kilka razy, a jedno z tych przedstawień ofiarowano gratis całemu gronu artystów i literatów warszawskich, jakby na ułagodzenie kwaśnych humorów, niemogących zapomnieć o gwałcie w Poznańskiem spełnionym.

Gdyby artyści nasi, szczególniej pozujący na wielkości pierwszej mody, zamiast wyjeżdżania na występy gościnne do Krakowa, Lwowa i Poznania, uczyli się wprzód dobrze i wyraźnie mówić, głosem szafować umiejętnie i nie rzucać się jak opętani w miejscach więcej dramatycznych, to pomału staliby się godni owych występów jedynie znakomitościom przynależnych. Niekażdy może zrównać Królikowskiemu, temu mistrzowi słowa co nawet szepcząc jest słyszany zarówno w lożach jak na najwyższych ławkach paradyzu; ale każdy może takiej jak on poświęcić się pracy, zanim stał się tem czem został.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Instalacya ks. arcybiskupa lwowskiego,** Seweryna Morawskiego, odbyła się przy najpiękniejszej pogodzie. Wspaniale wyglądać miał, jak zapewnia „Kuryer Lwowski", pochód duchowieństwa trzech obrządków; rz. kat., grec. kat. i ormiańskiego, z trzema arcybiskupami i biskupami na czele. W ceremoniach wzięli udział: namiestnik, marszałek krajowy, dygnitarze i jeneralicya.

*** Projekt.** Dzienniki donoszą, że w sferach rządzących powstał projekt zreformowania niektórych artykułów kodeksu cywilnego, ograniczających prawną samodzielność kobiety.

Na czem mianowicie polegać będzie owa reforma, dotąd niewiadomo; przypuszczać wszakże można, że zapewni ona kobietom swobodę co do rozporządzania majątkiem, dziś jak wiadomo dość ograniczoną.

O dalszych losach tego projektu, w swoim czasie donieść nie omieszkamy.

*** Teatr Meiningeński,** kończy szereg przedstawień, któremi zachwycał przez kilka tygodni Warszawian. Sądzimy, że przedstawienia meiningeńczyków nie pozostaną bez wpływu na nasz warszawski teatr, i że tak dyrekcya, jak i reżyserya mieć będą na uwadze tę staranność, ład i poszanowanie dla sztuki, jakiem się trupa niemiecka odznacza.

*** Dwa dni świąteczne,** a przytem piękna prawdziwie majowa pogoda, wywabiły na spacery zamiejskie mnóstwo osób, spragnionych świeżego powietrza i chwili wytchnienia pod jasnem sklepieniem niebios, wśród zielonych pól i lasów.

Połowa Warszawy (mówiąc po warszawsku), podążyła za rogatki ku tradycyjnym Bielanom, na Kępę, bądź do Wilanowa. Statki parowe były w ciągłym ruchu, a pociągi dróg żelaznych, wiozły tysiące spacerowiczów.

Wiosna dla mieszkańców miasta szczególniej, ma niewypowiedziany urok, to też pierwsze jej uśmiechy witane są zawsze z niekłamanym zapałem.

*** Wioślarki.** Liczba amatorek sportu wodnego wciąż wzrasta, a niektóre panie tak już dobrze nauczyły się robić wiosłem i kierować łódką, że odważają się same, bez pomocy męskiej, puszczać się na bystro płynące fale Wisły. Jest-to zabawa bardzo przyjemna a dla zdrowia nieoceniona, wyrabia siły i wzmacnia cały organizm. Idzie tylko o to, aby młode żeglarki nie ufały zbytecznie swym siłom i nie puszczały się zbyt daleko bez odpowiedniej eskorty, gdyż w takim razie zabawa stałby się mogła niebezpieczną. W zeszłym tygodniu, bardzo poważne niebezpieczeństwo groziło pięciu członkom yacht-klubu, którzy używali przejażdżki wodnej na tak zwanym „gig", z przeciwnej strony zbliżał się statek parowy. Wioślarze, widocznie jeszcze nie dość wprawni, podpłynęli za blizko pod parowiec i pod jego impetem w jednej chwili „gig" z całą osadą znalazł się pod wodą.

Dzięki znajdującym się w pobliżu łodziom, niefortunnych marynarzy wyratowano, „gig" zaś uderzywszy o statek rozbił się na wióry. Gdyby fatalne spotkanie nastąpiło w innem miejscu, nie w blizkości przystani, zkąd natychmiast na ratunek pospieszono, to kto wie jaki los byłby spotkał owych pięciu wioślarzy!

Niech więc to będzie i dla pięknych wioślarek przestrogą, by używając milej rozrywki nie ufały zbytecznie swym siłom i zachowywały ostrożność, gdyż z Wisłą tak, jak z ogniem... nie można igrać.

*** O naszym teatrze** nie zbyt pochlebnie wyraża się, niejaki Eugeniusz Zabel, współredaktor „National Zeitung". Mąż ten dumny ze swej cywilizacyi germańskiej, raczył zaszczycić Warszawę kilkodniową swą obecnością i przyszedł do przekonania, że jej mieszkańcy są jeżeli nie zupełnie, to w połowie przynajmniej dzikimi azyatami. O teatrze warszawskim powiada p. Zabel, że gdyby nie afisze przy wejściach i kassy z biletami — to niktby nie domyślił się nawet, że ten odrapany gmach, z którego tynkt kawałami opada jest przybytkiem muzy.

Z artystów odznacza p. Z.: Żółkowskiego i Królikowskiego, ze śpiewaczek najbardziej ceni pannę Hermanównę.

O autorach dramatycznych, polskich, wie w ogóle bardzo mało.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** 68,000 oświadczyn** w przeciągu 48 godzin otrzymała pewna nieładna i niemłoda służąca w Paryżu. Pomiędzy tą massą konkurentów do ręki kucharki, który listownie wyznali swe sentymenta, nie brak, jak twierdzą dzienniki, ani mitry książęcej, ani korony hrabiowskiej, ani podobno nawet spadłej z etatu... teki ministeryalnej.

Powodem tych licznych oświadczyn, jak się łatwo domyśléć — są pieniądze. Służąca przez umierającą swą panią, znaną z różnych dziwactw staruszkę, obdarowaną została legatem, wynoszącym trzy miliony franków — i teraz nie może się opędzić przed istnym potopem konkurentów, z których każdy pragnie ją bezinteresownie uszczęśliwić.

*** Polak w Afganistanie.** Dzienniki rossyjskie opowiadają bardzo zajmującą historyę o Polaku Witkiewiczu, który pierwszy zawiązywał stosunki pomiędzy Rossyą i Afganistanem.

Rzecz się miała tak: Między 30 a 40 rokiem naszego stulecia, sławny uczony Aleksander Humboldt, z listem przyjaciela swego, jenerał-gubernatora orenburskiego, hr. Perowskiego, wyruszył w stepy kirgizów, a przybywszy do jednego portu, w którym stało wojsko, list pokazał komendantowi. Natychmiast ulokowano uczonego w chłudnej stancyjce, której gospodarz żołnierz, nie był chwilowo obecnym. Rozejrzawszy się w stancyi, Humboldt znalazł książki, zaczął je przeglądać i znalazł tam swe własne dzieło, dzieła swego brata Wilhelma, jakieś dzieła o środkowej Azyi po angielsku, po polsku, po indyjsku, oraz słowniki różnych azyatyckich języków i w końcu rękopisma. Uwagi pisane ołówkiem na marginesach książek przekonały Humboldta, że czytelnik tea i właściciel książek jest człowiekiem niepospolitego umysłu i znakomitej wiedzy. Wypytuje więc Humbuldt czyim jest gościem? Odpowiedziano mu, że to Polak-żołnierz Witkiewicz.

Humboldt doniósł o tem zaraz Perowskiemu, który natychmiast kazał sobie przysłać Witkiewicza. Przekonawszy się, że Witkiewicz jest istotnie człowiekiem wielkiej wiedzy, że posiada dokładną znajomość języków i narzeczy azyatyckich, Perowski wysyła go do Merwu, Chiwy, Buchary, aby tam organizował stronnictwo rossyjskie.

Przybywszy do Kabulu, Witkiewicz rychło przekonał Emira, Dost Mahometa-Chana o pożyteczności sojuszu z Rossyą. Emir wysłał poselstwo do generała Perowskiego, a do Petersburga wystosował list, w którym prosił o ustanowienie w Kabulu agentury dyplomatycznej rossyjskiej i o przysłanie instruktorów wojskowych. Witkiewicz wzywany był jeszcze do Petersburga przez hr. Nesselrode i tam w Petersburgu życie zakończył samobójstwem. Po śmierci Witkiewicza, jego pamiętniki, notatki i plany przechowane zostały w archiwach ministeryum spraw zagranicznych.

*** W Paryżu** odbyło się w dniu 16 b. m., na cmentarzu Père Lachaise odsłonięcie pomnika grobowego ś. p. Adama Prażmowskiego, znakomitego astronoma i optyka, b. starszego adjunkta obserwatoryum astronomicznego i profesora b. szkoły głównej w Warszawie. Ś. p. Adam Prażmowski, zmarł jak wiadomo w Paryżu, w dniu 6 Lutego b. r. Pomnik postawiony na grobie uczonego zrobiony jest nader artystycznie przez młodego rzeźbiarza, Władysława Marcinkowskiego.

W chwili odsłonięcia pomnika, stosowną do okoliczności mowę, wypowiedział profesor Stanisław Artwiński.

*** Willa Kraszewskiego w Dreznie,** to ciche ustronie, w którem sędziwy autor tak długo pracował i w którem tyle pięknych dzieł literaturze przysporzył, została sprzedaną. Nabył ją baron Oppen, właściciel zamku Uliger.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Мая 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 20.

Dodatek.

Opis do N-ru 22.

N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1 i 4 — 5. Ubranie myśliwskie dla małego chłopczyka. Krój na dodatku z formami N. III fig. 14—24.

Kostium dla małego chłopczyka odrobiony był podług ubiorów myśliwskich dla panów, z sukna ciemno zielonego i ciemno popielatego. Z zielonego sukna dana fałdowana spódniczka i wypustki 1 — 2 cent. szerokie, przez środek przystębnowane. Pod majtki przypinane na guziki do spodniego stanika, daje się podszewkę z szyrtyngu, a brzeg zewnętrzny przedniej części, oszyty wypustką, zakłada się na brzeg tylnej części majtek i przyszywa do niej szwem niewidocznym od *c* do *d*, a od *d* do dołu zapina się na guziki. Górny brzeg majtek oszywa się tasiemką, dodaje dla mocy skośną, 4 cent. szeroką listewkę z dymki i pasek ze sprzączką do zapinania. Pod popielatą, u dołu w patki przecinaną żakietkę, fig. 16 — 18, dodaje się spódniczkę fałdowaną, 16 cent. długą a 230 szeroką. U paska 5 cent. szerokiego, przepiętego patkami, zawieszona jest na troczkach 8 cent. długich, torebka przykrojona podług ryc. 20, oszyta wkoło zieloną pliską. Zwierzchni brzeg rękawa obejmuje się wypustką i zeszywa jak u majtek. Kostium ryc. 1 i 4 dopełnia zielona czapeczka z podszewką jedwabną; do części przednich (fig. 21) przyszyty od *r* do *s* daszek, fig. 22; do części tylnych przyszywa się krytemi ściegami ranwers. Zielony szmuklerski guzik przyszyty na czubku i dwa cienkie sznureczki jedwabne, przyczepione z boków takiemiż guzikami, zdobią czapeczkę.

N. 2 i 6. Sukienka princesse z fałdami zakładanemi od spodu, dla dziewczynki lat 6—8. Model kroju N. XIV fig. 73.

Sukienkę tym fasonem odrobić można z każdego materyału z naszyciem taśmą jak na ryc. 2, albo wązką aksamitką jak na ryc. 6. Do skośnego zapięcia trzeba do lewej połowy przodu *a* dodać część *b*. Szerokość dodaną przy krajaniu spódnicy trzeba złożyć w potrójne kontrafałdy; do przodów dodaje się w środku i pomiędzy przecięcia oznaczone podwójną linijką na fig. 73 części fałdowane, 30 cent. szerokie. Naszycia daje się tylko na zwierzchnich kontrafałdach; kołnierzyk stojący ma 3 cent. wysokości. Pasek z wstążki kolorowej 5 cent. szerokiej, przepięty patkami 5 cent. długiemi a 2 cent. szerokiemi, zapina się z przodu pod szarfą.

N. 3. Mantyla z szalowemi końcami i szarfą. Krój i przód na dodatku z formami N. V fig. 29 — 33.

Model mantyli odrobiony był z czarnego jedwabnego ottomanu na jedwabnej podszewce i suto garnirowany koronką. Zeszycie części mantyli wskazują jednakowe liczby, a części paska, przykrojone razem z przodami zapięte z tyłu, służą do obcisłego przytrzymania mantyli na figurze. Szarfę złożoną z pukli i końców 70 cent. długich, zrobioną z wstążki repsowej 20 cent. szerokiej, przypina się do pleców, a przez węzeł przeciąga się koronkę.

N. 7. Kołnierzyk stojący z jedwabnej grenadyny.

Przezroczysty stojący kołnierzyk robi się ze skośnego, 25 cent. szerokiego kawałka białej jedwabnej gazy, złożonego wzdłuż w fałdy, do $5\frac{1}{2}$ cent. szerokości. Rozetę układa się z podwójnego, 5 cent. szerokiego a 18 cent. długiego skośnego kawałka grenadyny i z wstążki gazowej w paski atłasowe, 3 cent. szerokiej.

N. 8. Kołnierzyk stojący z torsadką złotą.

Na pasek 39 cent. długi a 4 cent. szeroki, stanowiący podstawę kołnierzyka, składa się potrójnie kawałek muślinu, pokrywa go ciemno żółtą wstążką, zwierzchu dodaje się wzdłuż, na środku, aksamitkę jasno bordo, która stanowi podłożenie, pod 2 cent. szeroką, ażurową złotą torsadkę. Na brzegach kołnierzyka naszyte są rzędy żółtych pereł. Zapięcie pokrywa kokarda ze wstążki $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiej.

N. 9—10 i 32. Ręcznik. Kratka ażurowa z deseniem cerowanym *punto tirato* i wyszycie ściegiem pojedyńczym. Deseń na koronkę fig. 77.

Model ręcznika 125 cent. długi a 52 szeroki, z grubego płótna domowej roboty, miał wkoło wązki obrąbek, zaszyty kratką ażurową. Szlak zaczęty w odstępie 9 c. od obrębka, ma z jednego poprzecznego brzegu $6\frac{1}{2}$, z drugiego 17 c. szerokości. Ponieważ ten koniec wykłada się na wierzch, więc szlak robi się z lewej strony. Na ryc. 9 dajemy wzór szlaku węższego w naturalnej wielkości; deseń na szlak szeroki dobrać można pomiędzy licznemi deseniami na robotę krzyżową w roku przeszłym i bieżącym, licząc zawsze jeden krzyżyk na każdą ażurową kratkę. Szlaki powinny nie dochodzić z boku na 4 cent. do brzegów. Do roboty *punto tirato* najwłasciwsze jest grube surowe płotno, w którem najpierw trzeba wyciągnąć odpowiedni do szerokości deseniu pas kratek, wyciągając w odstępach dwóch nitek, dwie nitki wzdłuż i wpoprzek, sposobem wskazanym na ryc. 32, gdzie także dajemy próbkę roboty. Deseń ceruje się podwójnie wziętemi nitkami, z płótna wyciąganemi, albo nićmi odpowiedniej grubości, tak ażeby dwa rzędy ściegów zapełniały dokładnie kratki; ażurowe kratki tła obrzuca się ściegiem sznureczkowym bawełną ponsową. Dla umocowania brzegów wyciętych nitek dzierga się gęsto brzegi deseniu, następnie wyszywa się ściegiem pojedyńczym, bawełną ponsową szlaczki wązkie. Deseń na koronkę irlandzką dajemy na dodatku z krojami, fig. 77. W miejsce tasiemeczki koronkowej można użyć białej bawełnianej plecionki.

N. 11. Płaszczyk podróżny z peleryną. Model kroju i widok pleców na dodatku z formami fig. 35—36.

Podług małego modelu i miar na fig. 35, łatwo można dopasować formę płaszczyka, części pleców *c* dopełnia bryt *d*. przyszyty nagłówkiem fałdowanym, 3 cent. szerokim. W pelerynie złożonej z dwóch części, przykrojonych podług *e*, daje się po dwie zaszewki na ramionach i przyszywa obie części do pleców, pod listewkami 4 cent. szerokiemi, ozdobionemi guziczkami. Model mający w drodze osłaniać od kurzu, zrobiony był z płótna szarego i ozdobiony wstawkami i koronką 8 cent. szeroką, robioną z szarych nici szydełkiem lub na klockach. Do płaszczyka z alpagi stosowniejsza będzie koronka wełniana.

N. 14—15. Kołdry podróżne albo do osłony w powozie. Robota tkacka na warstaciku ręcznym, ozdobiona wyszyciem krzyżowem. Wzory roboty na fig. 43 i 79—80.

Lekkie kołdry powozowe, przeznaczone do ochrony ubrań od promieni słonecznych i od kurzu, powinny być robione z materyału i w kolorach najmniej wrażliwych na zmiany powietrza. Obadwa modele, ryc. 14—15, robione były w pasy z grubej bawełny, koloru *ficelle* i ponsowego, na warstaciku tkackim, a wyszyte ściegiem krzyżowym. Jeżeli wyszycie damy ściegiem na dwie strony, niepotrzeba dawać podszewki, w przeciwnym razie podszywa się kapę satynką albo kaszmirem; na noclegach w podróży może ona zastąpić kołdrę. Model miał 195 cent. długości a 145 szerokości. Można także dawać pasy tkane naprzemian z pasami lub kwadratami z płótna lub kanwy płóciennej, dając wyszycie krzyżowe na takowych.

N. 20 —21. Suknia z draperyą odmienną z dwóch boków.

Model sukni, odznaczający się szczególnie wykwintnym doborem kolorów, odrobiony był z ciężkiej materyi w drobne paski bronzowe i *bleu dragon*, a ubrany aksamitem w ciemniejszym niebieskim odcieniu. Brzeg spódnicy oszyty był 10 cent. szeroką atłasową falbanką, układaną w kontrafałdy. Draperyę przednią układa się z dwóch brytów, 75 cent. szerokich, u dołu w zaokrąglone zęby wyciętych a z boków otwartych, których boczne do przodu idące brzegi oszyte są pliską aksamitną 5 cent. szeroką. Z jednego boku z pod otwartej draperyi widać plisowanie w górę aż do paska dochodzące, ułożone z bryta 120 cent. szerokiego, mające dolnej szerokości 35 cent. Przedni, luźno spuszczony bryt draperyi, jest przyfałdowany w górze i z brzegu tylnego, a na drugi bryt boczny, ułożony w trzy głębokie plisowane fałdy, zachodzi kontrafałda i plisowana fałda, mające razem 25 cent. szerokości, na które trzeba prostego, 52 c. szerokiego kawałka aksamitu. Z jednej strony dodane jest w górze panier, ułożone z bryta 110 cent. długiego a 50 szerokiego, którego brzeg jeden boczny i brzeg górny fałduje się, i zacząwszy od środka przodu, wszywa w pasek od spodnicy, a brzeg drugi do 25 cent. przyfałdowany, wszywa się pomiędzy tylny szew spódnicy. W odstające fałdy ułożone nie pod-



N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Kostium myśliwski dla chłopczyka lat 3—5. Patrz ryc. 4 i 5. Krój na arkuszu N. III, fig. 14—24.

N. 2. Sukienka princesse dla panienki lat 6—8. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 73.

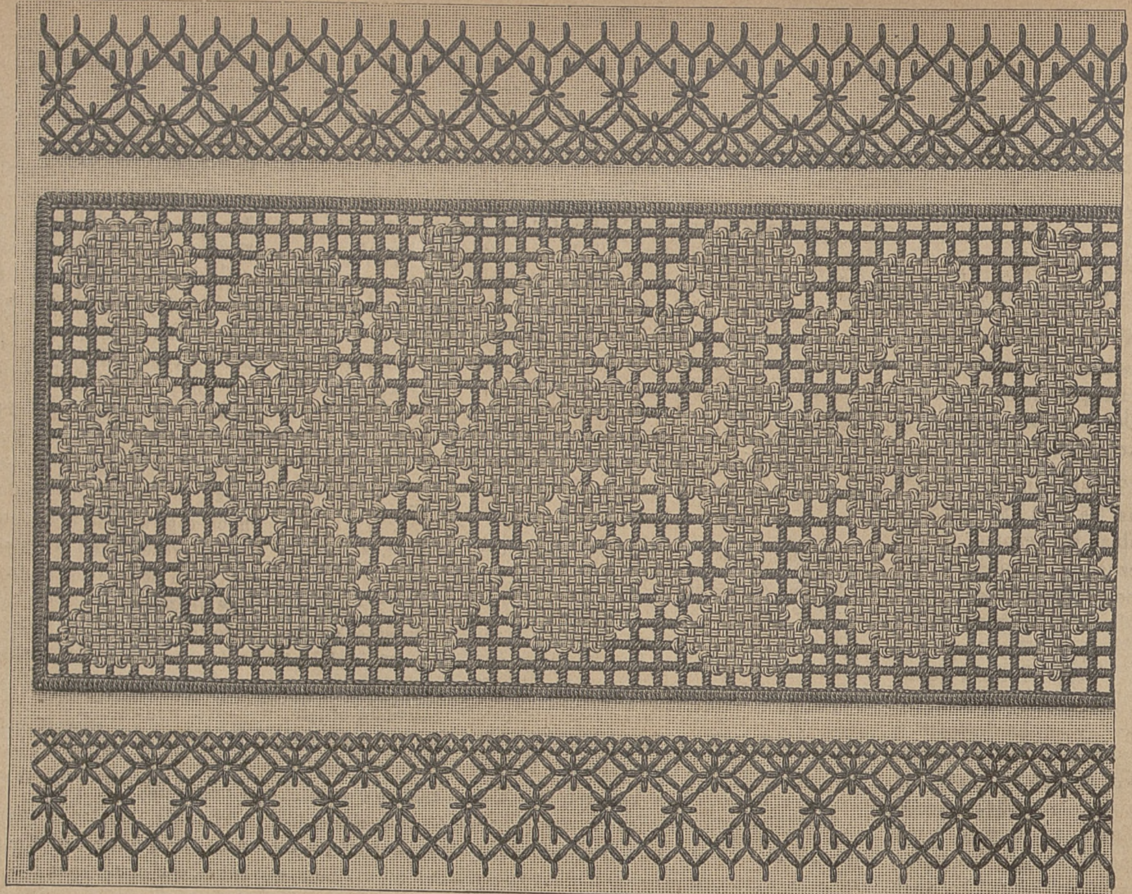
N. 3. Okrycie z szalowemi końcami i szarfą. Krój i przód na arkuszu N. V, fig. 29—33.

pinane bryty tylne mają 235 cent. szerokości; w górze zaczynając od paska, upięty jest w pukle 115 cent. długi bryt



N. 4. Kostium myśliwski dla chłopca lat 3—5. Patrz ryc. 1 i 5. Krój na arkuszu N. III, fig. 14—24.

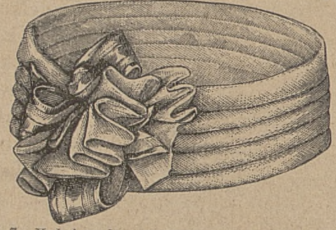
materyału, dopełniony dwoma puklami 23 cent. szerokiemi a 60 cent. długiemi, krajanemi przy plecach. Zwierzchni materyał przodów, dochodzący tylko do pierwszej zaszewki, obejmuje się pliską aksamitną, 2 cent. szeroką i przyszywa nakształt otwartego kaftaniczka do podszewki, pokrytej oddzielnemi kawałkami materyi i zapiętej na guziczki. Kołnierzyk stojący aksamitny.



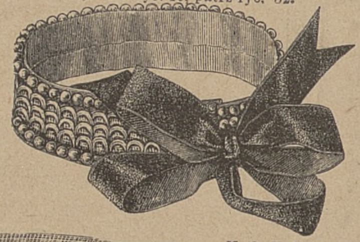
N. 9. Szlak. Kratka i deseń zasnuty, (punto tirato). Do ryc. 10, patrz ryc. 32.



N. 6. Sukienka princesse. Patrz ryc. 2. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 73.

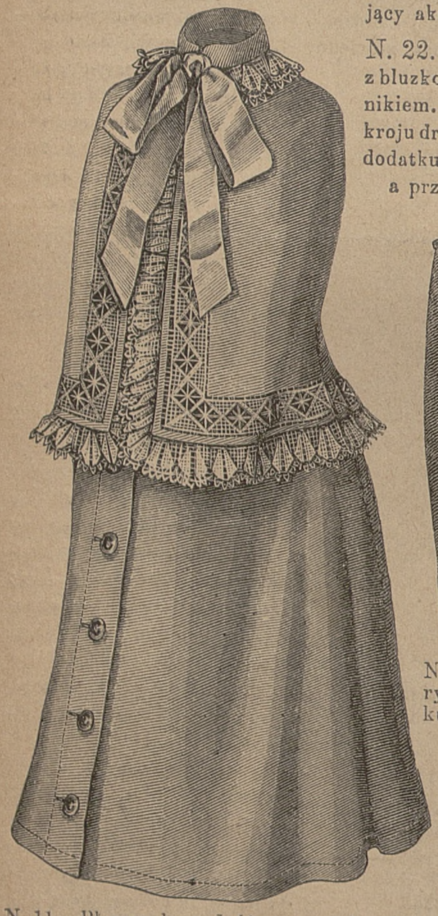


N. 7. Kołnierzyk z gazy jedwabnej.

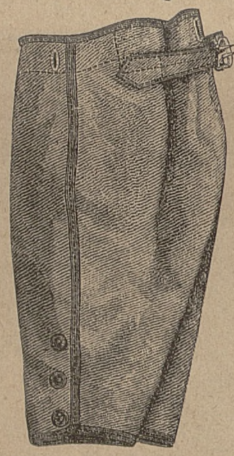


N. 8. Kołnierzyk stojący ze złotą torsadką.

N. 22. Suknia z bluzkowym stanikiem. Wymiar kroju draperyi na dodatku z formami, fig. 37, a przód sukni na fig. 38.

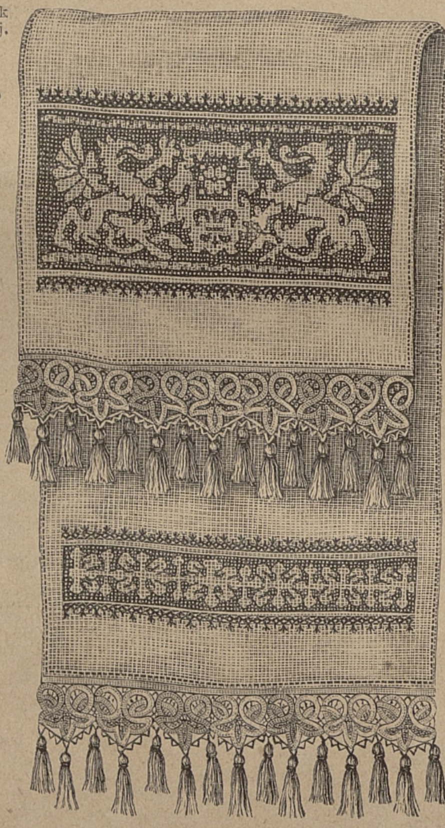


N. 11. Płaszczyk podróżny z peleryną. Krój i plecy na arkuszu N. VII, fig. 35—36.



N. 5. Majtki do ubrania ryc. 1 i 4. Krój na arkuszu N. III, fig. 14—15.

Na modelu suknia z jedwabnego repsu w kolorze *bleu hirondelle* stanowiła podwleczenie pod przezroczystą suknię z gazy białej kanwowej w rzucik niebieski. Jak widzimy na ryc. 22 u dołu na spódnicy i z brzegów draperyi, deseń stanowi szlak w zęby, których brzegi zakłada się do spodu i podszywa wstążką. Spódnicę oszytą wązkiem plisowaniem pokrywa wolant gazowy, 75 cent. szeroki, mający 285 cent. obwodu. Model draperyi upiętej z prostego bryta, dajemy na fig. 37; brzeg jej poprzeczny skośnie ścięty i część brzegu górnego do liczby 105 fałduje się podług krzyżyków i kropek do 12 cent. i przyszywa skośnie przy brzegu rozporka, w odstępie 24 i 15 cent. od wszycia w pasek; od dwukropka do dwukropka w bufę zaszyty, przyszywa się brzeg górny gładko ku górze z drugiej strony rozporka, dalej częścią gładko, częścią w parę fałd zaszyty, wszywa się w pasek; przy liczbie 170 jest draperya poprzecznie przyfałdowana i w górę podpięta węzłami do 195 przyszyta gładko. Linia kropkowana oznacza środek przodu draperyi, przy którym zaszywa się od 195 do 251 trzy kontrafałdy, poczem znów następuje do 321 część gładka, a do 345 część fałdowana. Przy 321 zaszywa się i podpina drugim węzłem fałdy. Wązko wycięty brzeg 97 cent. długi, przymarszcza się i przyszywa gwiazdką do gwiazdki, przy bocznym, 65 cent. długim brzegu. Plecy stanika zakończone są długą baskiną; gładką podszewkę przodów, tylko do wcięcia w pasie dochodzącą, pokrywa się gładko wzdłuż brzegów 8 cent. szerokiemi paskami zwierzchniego materyału, z którego w górze daje się karczek 15 cent. szeroki i suto przymarszczone, bufiaste bluzkowe przody, zakończone żabotowemi końcami 12 cent. długiemi a 15 szerokiemi i obciśnięte paskiem wszytym pomiędzy szwy boczne. Kokardy ze wstążki atłasowej, 6 cent. szerokiej, koloru *bleu hirondelle*.



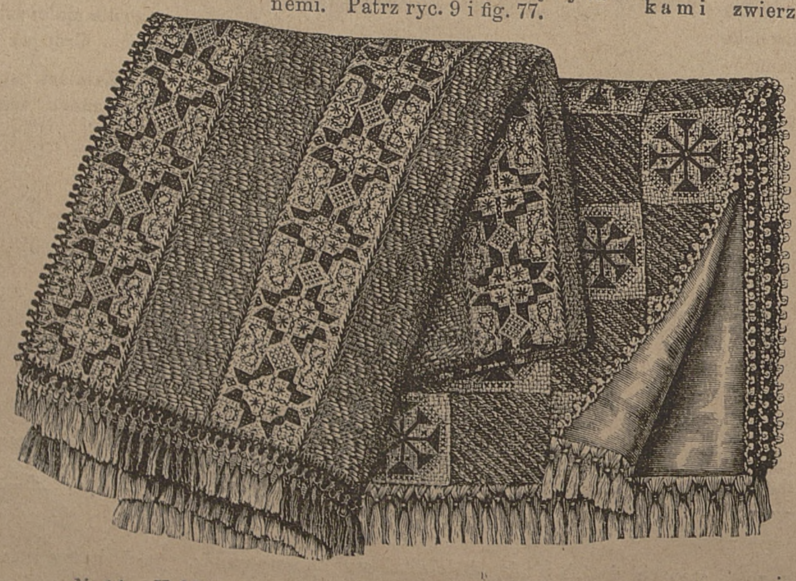
N. 10. Ręcznik zdobny szlakami wyszywanemi. Patrz ryc. 9 i fig. 77.



N. 16. Postument składany do kapelusza. Patrz ryc. 17.

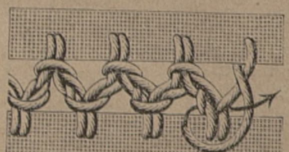


N. 12. Suknia z draperyą i kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 41. Krój i opis na arkuszu N. VI, fig. 34.



N. 14. Kołdra w pasy.

N. 15. Kołdra w kwadraty.



N. 13. Wykonanie ściegu ażurowego, łączącego bryty firanki ryc. 24.

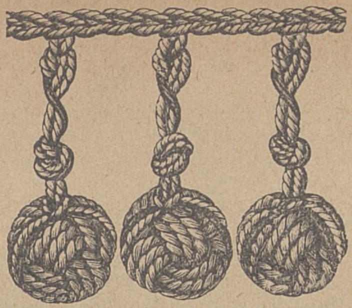
N. 27. Dywanik do zawieszania na ścianie. Haft z aplikacyą. Połowa deseniu na dodatku z krojami fig. 40.

Na tle z ponsowej flaneli dana aplikacya z flaneli zielonawo popielatej, którą podkleja się dla sztywności papierem, następnie odrysowane figury deseniu trzeba wyciąć sta-

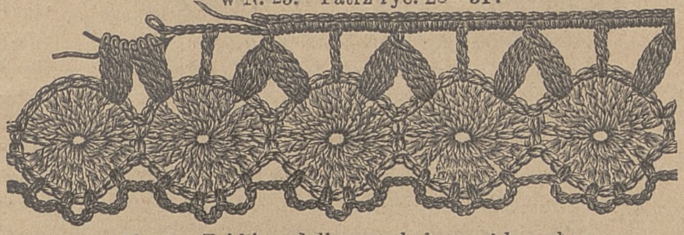


N. 17. Postument do kapelusza rozłożony. Patrz ryc. 16.

rannie i nakleić na tle. Brzegi figur obłożone są wązkiemi paskami lakierowanej skóry, przydzierganemi lub przez wierzch przyszytemi rzadkim ściegiem, nićmi kolorowemi. Jeden smok oszyty jest nićmi niebieskiemi, drugi pomarańczowemi, gałązki ostu przy ogonach nićmi blado ponsowemi a w dziobach blado zielonemi. Oczy zrobić kolorem białym i czerwonym a skrzydła wyszyć włóczką bronzową.



N. 18. Frendzla z kulek do ryc. 8 w N. 23. Patrz ryc. 28—31.



N. 19. Ząbki szydełkowe z kolorowej bawełny.



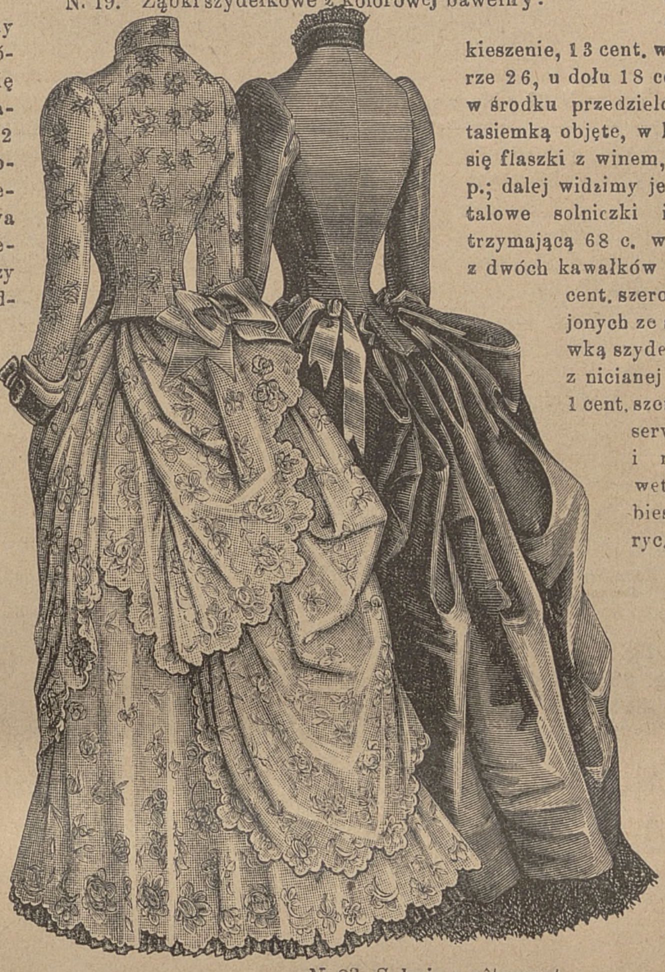
N. 20. Suknia z draperyą odmienuą z każdego boku. Patrz ryc. 21.



N. 21. Suknia z draperyą odmienną z każdego boku. Patrz ryc. 20.

N. 35—36. Torebka podróżna na pieniądze. Deseń na dodatku fig. 41—42.

Torebka podana na ryc. 35, służy do bezpiecznego i dogodnego przewożenia większej sumy pieniędzy w podróży; zawiesza ją się na szyi pod ubraniem na wstążce 2 cent. szerokiej. Złote sztuki pieniędzy zaszywa się kilku ściegami pomiędzy podwójną podszewkę porsową, która stanowi zarazem podłożenie pod haft, odrobiony na cienkiej, jasnej, woskowanej ceratce. Połowę deseniu na zwierzchnią stronę torebki, a zarazem miarę wielkości dajemy na fig. 42, a deseń na klapkę zapinaną na guzik, którą kraje się razem z gładką tylną stroną torebki, na fig. 41. Kontury deseniu trzeba równo ostębnować, głowy delfinów wyszyć ściegiem sznureczkowym, tło ceratkowe między deseniem wyciąć, brzegi torebki dla mocy odziergać a następnie obie części spoić nieznacznemi ściegami.

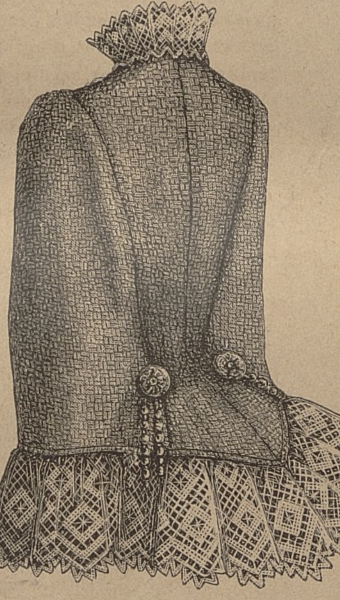


N. 22. Suknia z bluzkowym stanikiem. Krój i przód na arkuszu N. VIII, fig. 37—38.

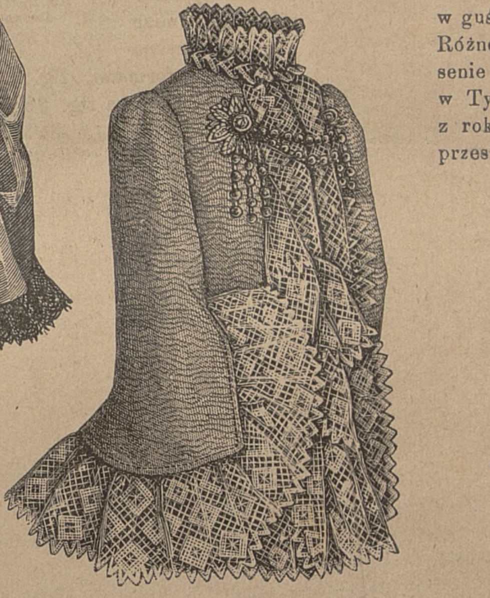
N. 23. Suknia z vêtement Patrz r. 30 w N. 23. Krój na arkuszu N. 10 f. 52—59.

N. 37—38. Poduszeczka na tualetę. Haft wenecki.

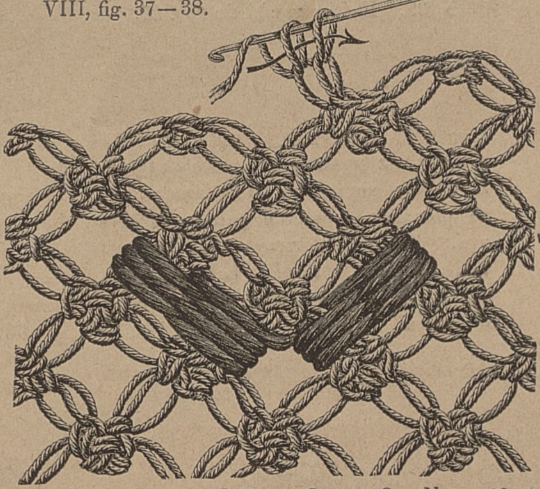
Ponsową pluszową poduszeczkę zdobi dodany zwierzchu haft wenecki robiony na cienkiem płótnie, do którego $^1/_4$ deseniu dajemy na ryc. 38. Kontury deseniu obwiedzione były sznureczkiem kręconym złotym, przydzierganym cienkim jedwabiem żółtawo bronzowym, pikoty są także ze sznureczka. Boki poduszeczki otacza bufa pluszowa, przesznurowana sznurkiem złotym. Kwasty ze szneli i sznureczka złotego.



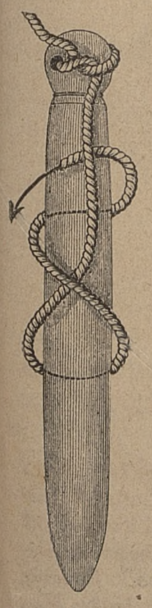
N. 24. Okrycie krótkie. Patrz ryc. 25. Krój i opis N. II, fig. 10—13.



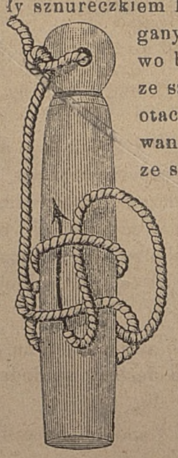
N. 25. Okrycie krótkie. Patrz r. 24. Krój i opis na arkuszu N. II, fig. 10—13.



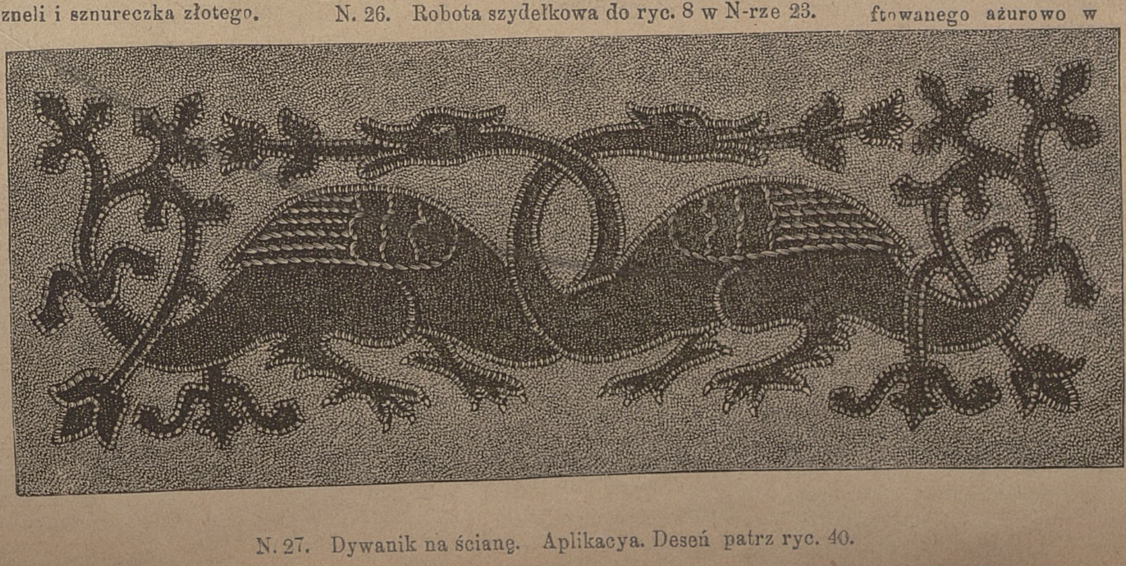
N. 26. Robota szydełkowa do ryc. 8 w N-rze 23.



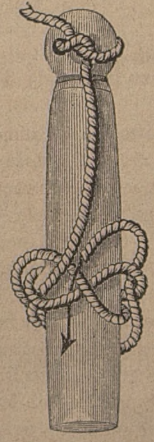
N. 28. Pierwsze skrzyżowanie sznureczka na węzeł do ryc. 18.



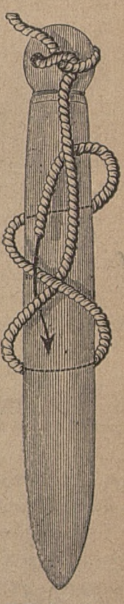
N. 30. Trzecie przewiązanie na węzeł do ryc. 18. Patrz ryc. 28—31.



N. 27. Dywanik na ścianę. Aplikacya. Deseń patrz ryc. 40.



N. 31. Czwarte przewiązanie węzła do ryc. 18. Patrz ryc. 28—30.



N. 29. Drugie przewiązanie sznureczka na węzeł do r. 18. Patrz r. 28.

N. 39—40. Koszyk na zapasy podróżne.

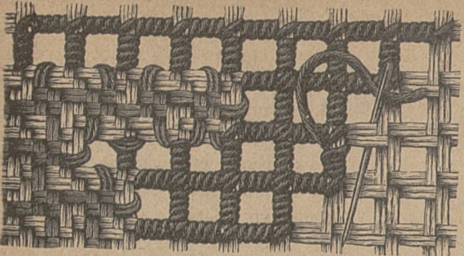
Ażeby dać lepiej poznać wewnętrzne urządzenie praktycznego koszyka na zapasy i nakrycia podróżne, dajemy go na ryc. 39 otwarty i bez przedniej ściany. Model pleciony był z łoziny bronzowo lakierowanej i miał wraz z wypukłem wiekiem 22 cent. wysokości, 32 górnej a 28 dolnej szerokości, głębokość wynosi 17 i 19 cent. Do zapinania służą rzemienie ze sprzączkami a do przenoszenia mocne ucho z łoziny. Za 5 cent. szeroką a 22 cent. długą mocną taśmę płócienną, ozdobioną haftem krzyżowym, przytwierdzoną do wewnętrznej strony wieka wsunięte są dwie serwety z nożami i widelcami. Także taśma 20 cent. długa przy tylnej ścianie kosza przytrzymuje kilka małych talerzy. Do tylnych rogów kosza przyczepione są dwie mocne płócienne kieszenie, 13 cent. wysokie, w górze 26, u dołu 18 cent. szerokie, w środku przedzielone, w górze tasiemką objęte, w które wsuwa się flaszki z winem, szklanki i t. p.; dalej widzimy jeszcze metalowe solniczki i serwetę trzymającą 68 c. w kwadrat, z dwóch kawałków płótna 34 cent. szerokich, spojonych ze sobą wstawką szydełkową lub z nicianej koronki, 1 cent. szeroką. Tak serwetę jak i małe serwetki zdobi haft krzyżowy robiony bawełną ponsową i niebieską na podłożonej kanwie. Wieko zamkniętego kosza ryc. 40, zdobi pas płócienny 11 cent. szeroki, wyszyty haftem krzyżowym w guście serbskim. Różne stosowne desenie znajdują się w Tygodniku Mód z roku bieżącego i przeszłego.

Opis do N-ru 23.

N. 1. Opis na arkuszu z krojami przy N. XII, fig. 65—70.

N. 2. Sukieneczka z materyału haftowanego dla małej dziewczynki. Krój jak do r. 9.

Zamiast batystu haftowanego ażurowo w maszynie, odbijającego bardzo efektownie na kolorowem podłożeniu, można również użyć tak modnego obecnie wełnianego koronkowego materyału, lub naśladowania koronki robotą szydełkową, albo nakoniec wywodzenia na tiulu. Krając przody i plecy staniczka po 21 cent. długie, podług powyżej wskazanego kroju, to tylko się



N. 32. Kratka ażurowa i wyszycie punto tirato, do ryc. 10.

zmienia, że ramiączka są odcięte i liczą 6 cent. szerokości a 13 długości. Spódniczka liczy 26 cent. długości a 137 obwodu; szarfa z wstążki ottoman w dwóch kolorach, 6 cent. szerokiej.



N. 34. Gwiazdka szydełkowa.

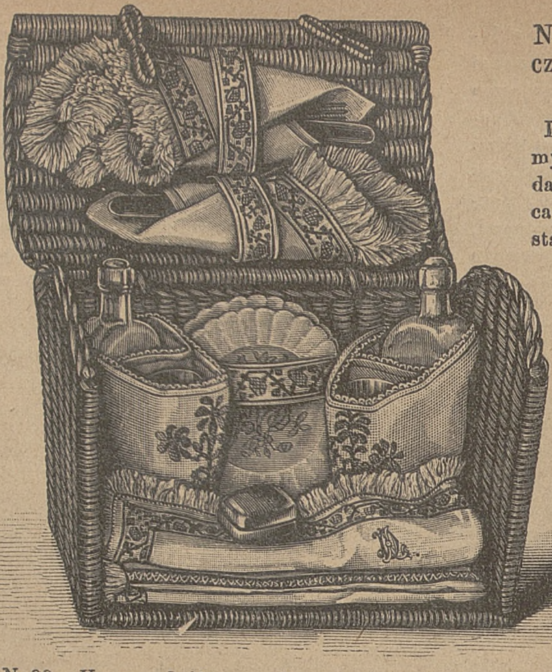
N. 3—4. Opis na arkuszu z krojami N. IX, fig. 45—51.

N. 5. Kapelusz ogrodowy.

Wielki kapelusz z wysoką główką i rondem zasłaniającem od słońca, pleciony z grubego kolorowego bastu, odpowiedni do wiejskich spacerów i dłuższych posiedzeń w ogrodzie, przybrany jest wielką kokardą.

N. 6. Kosz do robót.

Przeznaczony do złożenia większej roboty, liczy 39 cent. długości, 28 szerokości, około 16 głębokości i z wierzchu pokryty jest pluszem, a wewnątrz wysłany kolorową materyą. Z boków poprzecznych dodane są duże pluszowe kieszenie podszyte materyą. Zewnętrzne przybranie stanowi szlak 8 cent. szeroki, haftowany na pluszu, oszyty z brzegów sznurem jedwabnym.

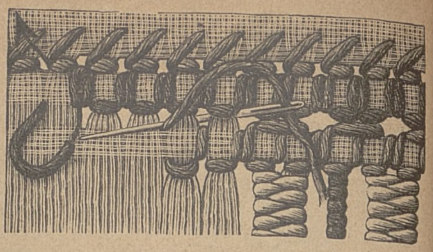


N. 39. Kosz podróżny z nakryciem i zapasami żywności. Patrz ryc. 40.

N. 7. Szlafroczek formą princesse.

Do zwykłej formy princesse dodaje się przy plecach od wcięcia stanu sute fałdy. Model był z kaszmiru białego lub niebieskiego, zapięcie dane z przodu na kryte guziczki. Drobne plisowane falbanki zajmują cały przód szlafroczka, dolna dana jest w około u dołu, z boków falbanki przycięte są ranwersami jedwabnemi, stopniowo od dołu zwężającemi się ku górze i sięgającemi tylko do wcięcia stanu. Kwadratowy wykrój szyi przysłania trójkątna chusteczka muślinowa, oszyta koronką. Czepeczek z koronki i wstążki.

D. n.



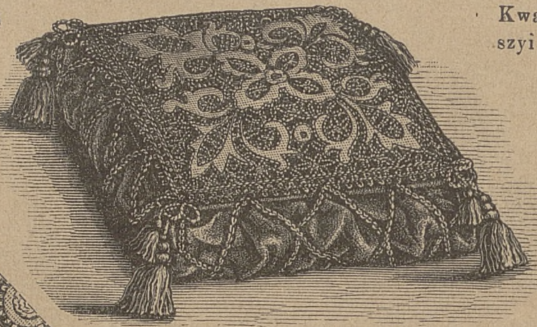
N. 33. Wiązanie kratki ażurowej do szlaku ryc. 25 w N-rze 23.



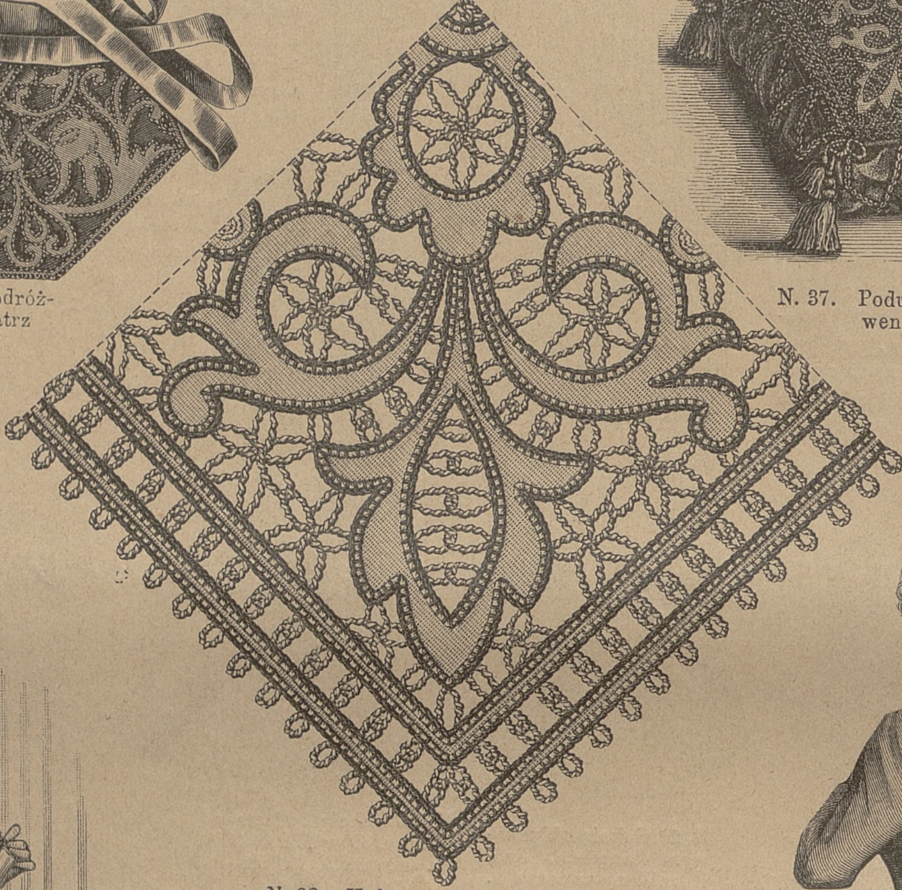
N. 36. Zaszycie pieniędzy w torebkę podróżną. Patrz ryc. 35.



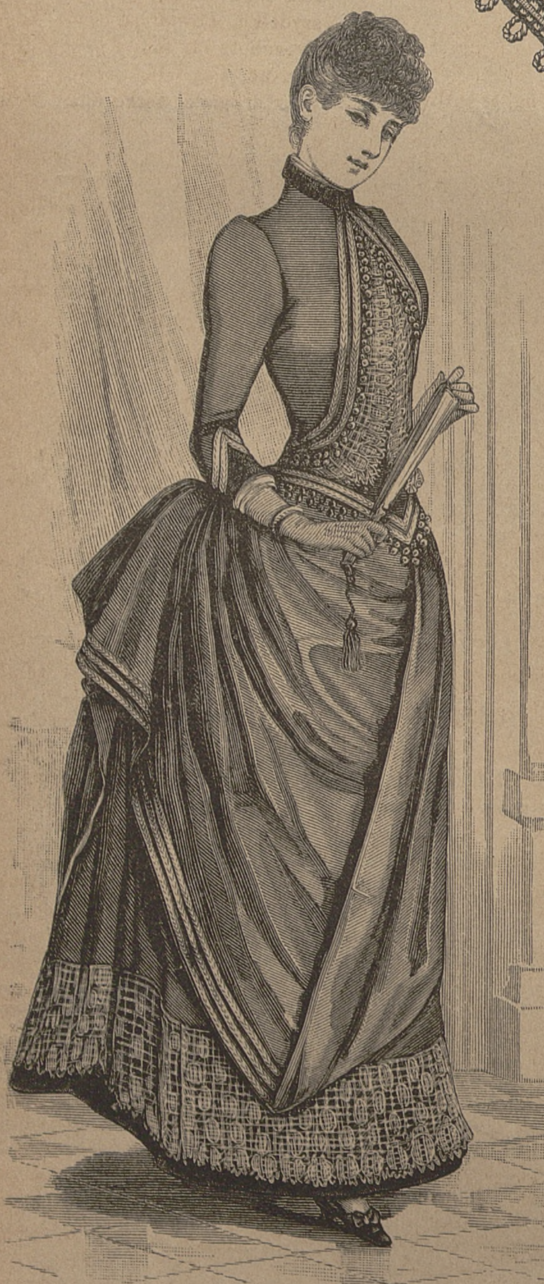
N. 35. Torebka podróżna do pieniędzy. Patrz ryc. 36.



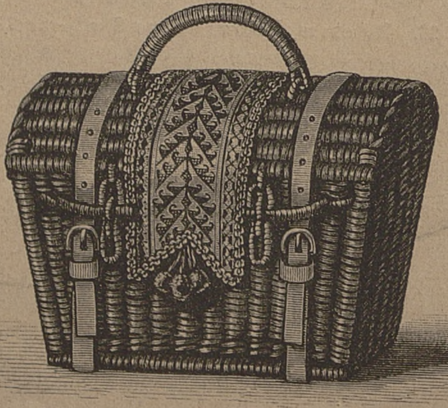
N. 37. Poduszeczka na toaletę. Haft wenecki. Patrz ryc. 38.



N. 38. Haft wenecki do ryc. 37.



N. 41. Suknia z draperyą i kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 12. Krój i opis na arkuszu N. VI, fig. 34.



N. 40. Kosz podróżny. Patrz ryc. 39.



N. 42. Suknia z kaftaniczkiem i draperyą. Patrz ryc. 29 w N-rze 23. Krój na arkuszu N. X, fig. 52—59.